TYGODNIK ŁÓDZK
Rok V. Nr 17 (217)
Łódź, 29. IV. 62 r.
Cena
1 zł

odgłosy

JULIAN BRYSZ

WIELKA przeprowadzka

O zmierzchu wygląda to tak: stłoczone obok siebie ciemne bryły bloków a ponad nimi ażurowe konstrukcje dźwigów, zakończone u wierzchołków czerwonymi punkcikami lampek.

Całe osiedle jest jeszcze nie zamieszkałe, ale w oczodołach jednego z bloków zabłysły już światła. To jedyna w martwym osiedlu oaza życia, pierwsze pokoje, w których zamieszkali ludzie.

Zewnętrznie osiedle nie wyróżnia się niczym spośród kilkunastu nowoczesnych „kombinatów mieszkaniowych", jakie możemy oglądać w Łodzi. O jego odrębności stanowi miejsce, na którym powstaje.

Adres: ulica Konstytucyjna. A jeżeli to komuś nic nie mówi, więc powiem dokładniej: w sąsiedztwie Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. 1 Maja, dawniej osławiony Kunitzer, jedno z kilkunastu nazwisk, które w historii Łodzi zapisały się niesławnie.

Z nazwiskiem Kunitzera od dziesiątków lat kojarzyły się na Widzewie „kunitzerowskie budy" — drewniane domki, urągające elementarnym potrzebom ludzkim, zatłoczone do niemożliwości — miejsce wegetacji kilkuset robotników i ich rodzin.

Otóż osiedle, o którym mowa, powstaje na placu uzyskanym po wyburzeniu „kunitzerowskich bud". Tam gdzie do niedawna widziało się tylko sczerniałe, zapadające się w ziemię chałupki, dziś cieszą oko pastelowe barwy nowych tynków, pokrywających ściany wielkopłytowych kolosów. Nie musimy chyba dodawać, że ten fakt ma wymowę symbolu. Wszakże jeszcze bardziej wymowne są dzieje ludzi.

Dalszy ciąg na str. 5

Ob. Michalak

Rodzina Jaguszewskich. Fot. E. Haneman

Wszystkim naszym Czytelnikom z okazji Święta

1 Maja

składa najlepsze życzenia redakcja tygodnika „Odgłosy"

Fot. W. Biliński

70 lat temu

Wydarzenia poniżej opisane noszą historyczne miano „Buntu Łódzkiego". Przytaczamy je za Adamem Próchnikiem z książki pod tym tytułem dla przypomnienia młodemu pokoleniu.

TRZECI DZIEŃ STRAJKU

4 maja

O ile przez pierwsze dwa dni rozlegały się tylko pojedyncze grzmoty, o tyle trzeciego dnia zaczęła się już rozpętywać burza. W głębinach zaczęły huczeć żywioły. Fale występują już z brzegów.

Fabryki, które od dwóch dni brały już udział w akcji, jakby wyczerpane wysiłkiem, wycofały się chwilowo z boju. Robotnicy przędzalni Geldnera i firmy Sztiller i Bielszowski wrócili rano do pracy. Natomiast fabryki, które przystąpiły do strajku poprzedniego dnia, trwały w walce dalej. Zarówno u Alarta jak u Heincla strajk trwał w całej pełni i obie te fabryki, były dalej nieczynne. U Zilbersztajna, gdzie jak wiemy we wtorek strajk był częściowy, panował ten sam stan i w środę rano. W owych trzech fabrykach uczestniczyło zatem w strajku w środę od rana 2 400 robotników.

Natomiast przyłącza się do strajku szereg nowych fabryk.

Po południu strajk zdobył nowe tereny. Strajkujący robotnicy zaczęli obchodzić pracujące fabryki i nakłaniać robotników do przyłączenia się do akcji. Po przerwie obiadowej zastrajkowali wszyscy robotnicy firmy Szwarc, Birnbaum i Lewi, która zatrudniała 670 robotników, U Leona Szwarca wstrzymało się od pracy 600 osób, u Gromana 500 osób, u Desurmonta 300, u Jarocińskiego 130, u Keniga 100, u Abramsona 50, u Kona 40. Między godziną 2 a 3 po południu tłum strajkujących robotników z obcych fabryk udał się pod fabrykę Zilbersztajna, gdzie jeszcze, jak wiadomo, część robotników pracowała, i skupił się koło bramy. Na żądanie przybyłych ci pozostali robotnicy opuścili warsztaty i fabryka została całkowicie zatrzymana. Mniej więcej w tym samym czasie, koło godziny 3 po południu, zastrajkowała druga z kolei największa fabryka szajblerowska tzw. Centrala, w której było zatrudnionych 1 557 robotników. Wreszcie pod wieczór stanęła też szajblerowska przędzalnia odpadków z 207 robotnikami. W ten sposób w

Dokończenie na str. 6

WIESŁAW BEK

ROMANTYZM CODZIENNOŚCI

Gotów jestem założyć się z Tobą, Czytelniku, że właściwie nie wiesz, ile jest w Łodzi zakładów przemysłowych. Po prostu nigdy nie zadałeś sobie trudu, by zliczyć je, zadowalasz się tym, że one decydują o charakterze miasta. Dopiero gdzieś poza granicami Polski zapytany o Twoje miasto, rumienisz się ze wstydu: 100, a może 150? I chętnie uciekasz do historii miasta, jego rewolucyjnych tradycji, o których Twoi zagraniczni rozmówcy wiedzą najczęściej nie mniej niż Ty. Bo imię Łodzi rozsławiła jej bohaterska przeszłość, zmagania klasy robotniczej, zapoczątkowane w latach 1872, 1883, i 1884, kiedy to karty historii miasta pokryły daty pierwszych znanych strajków łódzkich. Z ponad sześciu wieków, przez które wloką się dzieje Łodzi, najpierw wsi, potem osady, a wreszcie miasta, znaczna część lat wypełniona jest protestem klasy robotniczej. Na dawniej grząskich puszczańskich terenach, porośniętych łozą—rokiciną, od której — jak chcą etymologowie powstała nazwa miasta — robotnicy podjęli twardą walkę O minimum praw do życia, o egzystencję.

Klasa robotnicza W zgoła innych warunkach historycznych — jakże i inna jest klasa robotnicza. Dopiero 17 lat temu skorzystała z prawa równego startu społecznego, a już dziś nie wyliczysz nawet wszystkich zmian, któ-

Dokończenie na str. 2

W Łodzi to nie uchodzi

O „cudownych dzieciach"

Otrzymałem od czytelników „Odgłosów" kilka listów w sprawie ewentualnych przyjęć dzieci sześcioletnich do szkoły. Niektórzy proszą o radę, czy warto, inni o informację, jak to zrobić.

Inspektorzy oświaty zawaleni są teraz tego rodzaju interwencjami. Przychodzą mamusie (przeważnie) ze swoimi „cudownie zdolnymi dziećmi".

— Mój Kazik do tysiąca już liczy. Proszę niech go pan zapyta!

I Kazik automatycznie „liczy" jak pozytywka.

— Panie Inspektorze, moja Halinka już czyta i pisze. Proszę, niech pan posłucha!

„Przypadkowo" przyniosła ze sobą elementarz. Otwiera go na pierwszej lepszej stronicy. I Halinka czyta. Bez zająknienia, nawet zdaje się, bez spoglądania w tekst. Taka, bestyjka, mądra.

— Po co te pani robi, po co ją tak wcześnie uczyć! Dziecko tylko nudzić się będzie w klasie albo przeszkadzać innym dzieciom i nauczycielowi. Odbiera pani dziecku urok zdobywania wiadomości.

— Proszę pana! Uczyć? Jej nikt nie uczył. Nigdy! Ona tak sama z siebia! Zupełnie sama!

— Coś podobnego! Tak ni z tego ni z owego pewnego dnia otworzyła elementarz i zaczęła czytać? Czużby?

— No, tak to nie! Ale wie pan: wyszłam z nią na spacer to ona pokazuje jakiś napis i pyta: Co tu pisze? To znów prosiła, by w gazecie pokazywać jej różne litery. Później poprosiła, żeby jej kupić elementarz. I tak się nauczyła czytać i pisać. O, proszę, dwa zeszyty już zapisała!

— Mój Januszek to już całego „Słonia Trąbalskiego" na pamięć umie! Januszek, powiedz panu inspektorowi wierszyk!

Pan inspektor jakoś wykręcił się od wysłuchania wierszyka.

— Proszę pana — powiedział, zamknąwszy się ze mną w gabinecie — gdy się tak słucha tych opowiadań rodziców o cudownych dzieciach, człowiek gotów pomyśleć, że nie ma normalnych, przeciętnych dzieci tylko sami geniusze. Wierzyć się nie chce, że z tych ota „cudownych" Halinek, Kazików i Januszków wyrosną tylko zwykli tkacze, księgowi, robotnice czy urzędniczki! I niech pan napisze, żeby rodzice nie uczyli dzieci przed wysłaniem ich do szkoły. To przeszkadza tylko nauczycielowi w późniejszej nauce.

A poza tym później, już w klasach starszych, gdzie jest coraz większy procent dzieci, które tam klasę powtarzających, dystans wieku z jednego roku zwiększa się do dwóch lat. A to jest dość poważna różnica — dziewczynka czy chłopiec np. 14 a 16-letni. Inne zainteresowania, inny słownik itd.

— I skąd to się bierze?

— Co?

— No, to przecenianie uzdolnień, inteligencji własnego dziecka?

— To jest zupełnie zrozumiałe. Dla rodziców, którzy swoje dziecko obserwują od urodzenia, każdy przejaw inteligencji, każdy przejaw rozwoju budzi najwyższą radość: pierwszy uśmiech, „gaworzenia", pierwsze kroki, pierwsze słowa — to wszystko wydaje się czymś niezwykłym, cudownym. To pasmo „cudowności" i ciągłych zachwytów zaczyna się przerywać dopiero w szkole, kiedy nauczyciel stwierdza u „geniusza" cechy bardzo zwyczajne, spotykane i pospolite. Ale to przyjdzie dopiero później. Każdy rodzic zaczyna przeżywać okres rozczarowań i konfliktów, póki sobie nie uprzytomni, że jego dziecko jest zwyczajnym 7, 10, 14 czy 16-letnim człowiekiem. Ten subiektywizm w stosunku do własnego dziecka jest zjawiskiem zrozumiałym, powszechnym. Nikt nie jest od niego wolny. Czasem wyrażać się on może również w postaci negatywnego stosunku do dziecka, kiedy wyolbrzymia się każde jego potknięcie, każdą wadę.

— No, pan, taki znawca dzieci i rodziców, chyba już jest od tego subiektywizmu w stosunku do własnego dziecka wolny?

— Nic podobnego! Proszę sobie wyobrazić, że kiedy mój syn kończył sześć lat, postanowiłem oddać go do szkoły. Ponieważ nie chciałem polegać jedynie na swoim mniemaniu o inteligencji dziecka, poddałem go badaniom psychotechnicznym, których wynik określał jego całkowitą dojrzałość do podjęcia nauki w szkole.

— No i zapisał go pan?

— Nie. Proszę posłuchać!

Na początku września, kiedy już uzyskałem dla niego miejsce w klasie pierwszej, poszedłem do przedszkola, by podziękować za opiekę jego wychowawczyni. Była wyraźnie niezadowolona, że dziecko zabieram. Może je polubiła. Bo ja wiem. Włożyła do wazonika kwiatki, które jej przyniosłem i nie mówiąc nic poprosiła, bym zszedł z nią na dół do sali, gdzie bawiła się „starsza grupa".

Stanęliśmy w otwartych drzwiach. Dzieci bawiły się w kółko śpiewając (nożal się Boże): „Stary niedźwiedź mocno śni"... Po słowach: „Jak się zbudzi, to nas zje" — podnosił się wrzask, śmiech serdeczny i pisk dzieci, na które „rzucał się niedźwiedź".

— Widzi pan swojego synka? — zapytała.

— Widzę.

Widziałem go od pierwszej chwili. Był roześmiany jak wszystkie dzieci, pochłonięty zabawą bez reszty. Zupełnie nas nie zauważył, choć od kilku już minut obserwowaliśmy rozbawioną czeredę.

— No i co? Dobrze się bawi?

— Świetnie! Tak jak wszystkie dzieci zresztą!

— No, proszę, proszę. A pan co? Pan chce mu o rok tę jego beztroską zabawę skrócić. Dlaczego? Po co?

Czy dlatego, żeby dogodzić własnej ambicji, czy żeby zaspokoić własną próżność — ojca genialnego syna?

A może myśli pan o tym, że pan ciut, ciut za późno został ojcem i lęk pana zdejmuje, czy aby zdąży go pan wykształcić? Czy to fair w stosunku do niego? Czy on nie ma prawa być dzieckiem tak długo, jak jego rówieśnicy?

Zrobiło mi się głupio.

— Przepraszam panią.

Nie zabrałem dziecka wtedy z przedszkola. Do szkoły poszło dopiero za rok. Tak jak inne dzieci. Mądrą wychowawczynię z przedszkola pocałowałem z uszanowaniem w rękę za to, że mnie powstrzymała przed niemądrym krokiem, który by o rok skrócił dzieciństwo mojego syna.

ROZMOWA ODGŁOSÓW z:

doc. inż. MARIANEM CHWALIBOGIEM

kierownikiem Katedry Maszyn Włókienniczych Politechniki Łódzkiej

o:

- **WARUNKACH ROZWOJU MYŚLI TECHNICZNEJ**
- **ZNACZENIU PRAC BADAWCZYCH**
- **UMIEJĘTNOŚCIACH KORZYSTANIA Z LICENCJI**
- **ŁÓDZKIM TECHNEUM**

— Od jak dawna istnieje Katedra i jaki jest jej dorobek naukowy i dydaktyczny?

— W skład naszej Katedry, która istnieje od chwili powstania Wydziału Maszyn Włókienniczych, wchodzą dwa zakłady: Zakład Części Maszyn i Zakład Konstrukcji Maszyn Włókienniczych. Jest ona też jedynym zakładem naukowym w Polsce o tej specjalności.

— Czy ten kierunek studiów, jak i studia ogólne na Wydziale Włókienniczym, cieszy się podobną frekwencją?

— Niestety. Do niedawna nasz kierunek specjalny, który notabene przynależy do wydziału mechanicznego, a nie włókienniczego, był nieczęsto obierany przez studentów. Sytuacja uległa poprawie dzięki stypendiom fundowanym przez Zjednoczenie Przemysłu Maszyn Włókienniczych i dziś już 12 słuchaczy specjalizuje się w konstrukcji maszyn włókienniczych. Mimo jednak wzrostu frekwencji i zainteresowania tą specjalnością studiów, kadra specjalistów, którą kształcimy jest kilkakrotnie za mała w stosunku do potrzeb przemysłu. Przemysł bowiem potrzebuje rocznie ponad 30 inżynierów konstruktorów maszyn włókienniczych.

— W jaki więc sposób próbuje się uregulować tę sprawę?

— Brakom tym zapobiegamy częściowo w ten sposób, że technologów włókienników przygotowujemy do prac konstrukterskich przez odpowiedni dobór tematów dla prac magisterskich. Co ciekawsze, ci nasi wychowankowie przystosowują się do konstruowania maszyn włókienniczych łatwiej niż absolwenci wydziałów konstrukcyjnych innych maszyn.

Wydaje się jednak, że najlepszym środkiem zaradczym byłoby przeniesienie specjalizacji energetyczno-konstrukcyjnej z powrotem na wydz. włókienniczy.

— Czy zakres studiów w ramach Katedry odpowiada aktualnym wymogom, pod względem rozwoju nowej techniki, oraz supremacji innych nowoczesnych kierunków nauk technicznych?

— Stale dostosowujemy nasz program studiów do postępu techniki. Staramy się też aby nasza praca dydaktyczna była ściśle powiązana z tematyką interesującą przemysł.

— Co najbardziej, według Pana Docenta, hamuje rozwój myśli technicznej w naszych konkretnie warunkach?

— Wielkim mankamentem zarówno w pracach badawczych jak i dydaktycznych Katedry jest brak laboratorium. Laboratorium takie ma powstać w okresie najbliższych trzech lat. Aby jednak jak najszybciej polepszyć sytuację, powstało przy Instytucie Włókienniczym, przy ścisłej współpracy naszej Katedry, laboratorium elementów maszyn. Pierwszą czynnością tej placówki będzie analiza statystyczna pracy części maszyn, efektów finansowych i technicznych, żywotności, uszkodzeń części maszyn itp.)

— Ubiegły rok a nawet kilkanaście miesięcy poprzedzających wskazały na duże możliwości polskiego przemysłu maszyn włókienniczych w zakresie produkcji antyimportowej. Wykonujemy nawet maszyny, takie jak np. zgrzeblarki, produkowane na Śląsku — w których przyznano nam prawo specjalizacji w ramach współpracy gospodarczej państw demokracji ludowych. Sukcesy te są niewątpliwie w pewnym stopniu efektem pracy Katedry, która wiele zrobiła dla wykształcenia kadry inżynierów-konstruktorów maszyn. Jakie są horoskopy dla dalszych osiągnięć dydaktyczno-naukowych Katedry?

— Osobiście obiecuję sobie wiele po tym świeżo uruchomionym laboratorium, które w dużym stopniu polepszy warunki kształcenia nowych kadr technicznych. Co to bowiem jest nowa maszyna, nowe rozwiązanie konstrukcyjne prototypu?... O, proszę, niech Pani popatrzy na te dwie na oko jednakowe części maszyny. W jednej — stalowe igły są pogięte w drugiej — połamane. W laboratorium będziemy badać nie tylko kształt tych igieł ale i materiał, z którego zostały zrobione, jaki jest efekt rodzaju zużycia każdej z nich. To są właśnie te badania o których mówiłem, bardzo potrzebne dla ustalenia właściwego przebiegu studiów. I jeszcze jedno. Te wszystkie osiągnięcia techniki światowej, o której się tyle mówi i pisze są na ogół nam znane i tylko z braku ośrodków badawczych wyrabiamy sobie zbyt późno pogląd, o nowościach maszynowych. Nie wystarczy bowiem tylko lektura odpowiedniej literatury technicznej, gdyż często publikacje noszące niejednokrotnie charakter reklamowy przejaskrawiają zalety i z tej racji okazują się mało przydatne. Bez podjęcia badań nie zawsze można wyciągnąć prawdziwe wnioski.

— To się pokrywa z tym co spotykamy w codziennej praktyce. Pamiętamy choćby słynną licencję na budowę krosna Saurerowskiego. Minęło dobrych kilka lat zanim zdołaliśmy na jej podstawie opracować prototyp nowego krosna. A kiedy wreszcie rozkręciliśmy produkcję „Saurerów" okazało się, że na świecie są już nowe konstrukcje krosien lepsze i wydajniejsze, takie jak np. czeskie krosno hydrauliczne czy włoskie krosna szybkobieżne. Może więc potrzebna nam jest ścisłejsza współpraca inżynierów konstruktorów z naukowcami?

— Zakupienie licencji w postaci dokumentacji papierowej (rysunki, opisy) nie wystarcza. Elementy wykonane tylko według rysunków nadesłanych przez dostawcę licencji nie mogą zadowalać dlatego, że w rzeczywistości element różni się nieco od licencji. Fabryka sprzedając licencję przeważnie nie aktualizuje swoich rysunków, trzeba więc szukać odpowiednich rozwiązań. Uważam, że gdy kupuje się licencję to razem z oprzyrządowaniem i z obrabiarkami.

A poza tym nowa maszyna, która pokazuje się za granicą to efekt kilku dobrych lat pracy. W chwili kiedy jeden prototyp ukazuje się na rynku prowadzi się już badania nad opracowaniem następnego rozwiązania. W zasadzie więc nie możemy wiedzieć, co dzieje się w zagranicznych laboratoriach badawczych, oglądamy tylko końcowe wyniki prowadzonych tam prac. Wydaje się, że nasza myśl techniczna nie musi wiec gonić w pietkę za zagranicznymi konstruktorami, ale wysuwać i własne koncepcje, oraz prowadzić nad nimi solidne badania.

— Na ostatnim, kilka dni temu zakończonym X Plenum KC PZPR, poświęconym problemom postępu technicznego w przemyśle maszynowym, dużo mówiło się o tych sprawach. W dyskusji poruszono m. in. problem postępu technicznego i bodźców materialnego zainteresowania techniką, oraz tzw. prawo do ryzyka przy produkcji prototypów maszyn. Zdarza się bowiem i tak, że prototyp nie wyjdzie. Wtedy obcina się konstruktorom premie itp. W tych warunkach obserwuje się stały odpływ z Biur Konstrukcyjnych ludzi z wysokimi kwalifikacjami technicznymi. Co Pan o tym sądzi i jakie należałoby wysunąć postulaty w tym zakresie?

— Prawo do ryzyka dla inżyniera-konstruktora prototypu maszyny omawiane było nieraz. Na IV Kongresie Techniki, na konferencjach partyjnych. Bezsprzecznie widzimy wielkie znaczenie tego zagadnienia i uważamy, że właściwe rozwiązanie go przyczyni się do uzyskania lepszych wyników w naszych pracach badawczych.

Niezależnie od tego na naszym Wydziale prowadzi się ustawicznie badania w zakresie nowej techniki. Teraz np. mgr inż. Szosland zakończył b. istotne badania nad ruchem czółenka.

— Czy nie ma już ciekawszych tematów. Przecież poczciwe czółenko jest stare jak świat. Co tu jeszcze można badać?

— Owszem jest stare jak świat, ale nowoczesne badania krosna rozpoczęły się od niedawna, przed 30 laty zaledwie. Z punktu widzenia naukowego w krośnie jest wiele niezbadanych zagadek. Rozwiązanie ich może mieć olbrzymie znaczenie dla żywotności maszyny, wydajności, jakości produkowanej na niej tkaniny itp. Na tym etapie rozwoju techniki podjęcie tych badań staje się nieodzowne.

— Mówimy stale o sprawach dość „ciężkich", a tu wiosna za oknami. Widać ją również z okien Politechniki Łódzkiej. Może więc na zakończenie jakiś wiosenny cukiereczek?...

— Proszę bardzo. Proponuję ciekawostkę, o której jeszcze nie się nie pisało w prasie. Otóż wysunęliśmy propozycję utworzenia w Łodzi tzw. Techneum. Co to takiego? To coś w rodzaju muzeum ze zbiorami wszystkich osiągnięć myśli technicznej. Wystawione tam będą problemy, one będą eksponatami. Np. problem „błędów tkackich", albo „nierównomierności przędzy", „gładkość powierzchni elementu maszyny" i inne. Oczywiście będzie tam demonstrowana też i aparatura potrzebna do uzyskania efektu, rys historyczny przy każdym eksponacie, odpowiednie prelekcje naukowo-techniczne itp.

Myśl zorganizowania w Łodzi pierwszego Techneum podjęła Woj. Kom. Porozwn. NOT z inicjatywy naszej Katedry i już się w tej sprawie coś robi. Techneum będzie propagować myśl techniczną, informować o nowych osiągnięciach ogół pracowników przemysłu. A to są już cele, dla których warto nie żałować czasu, środków i inwencji.

Rozm. K. WYRZYKOWSKA

Romantyzm codzienności

Dokończenie ze str. 1

w niej zaszły. W mieście przed wojną tylko skromniutkiego oddziału Wolnej Wszechnicy, aule licznych wyższych uczelni zapełniły się dziećmi robotników. Szablonowy podział w statystykach: „robotnicy", „pracownicy umysłowi", przestaje wystarczać. By poznać robotniczą kadrę łódzkich zakładów przemysłowych trzeba wiedzieć koniecznie ilu wczoraj niewykształconych robotników — dziś figuruje w grupie: „pracownicy umysłowi" jako technicy, inżynierowie... Ilu z nich odeszło od prymitywu wytwarzania do kierowania nowoczesnymi maszynami. Przecież w ubiegłym pięcioleciu rekonstrukcja i modernizacja tylko zakładów przemysłu lekkiego w Łodzi pochłonęła niebagatelną sumę 1.800 mln. złotych!

Nowej technice towarzyszy nowy człowiek, zapoznany z nią, wychodzący jej naprzeciw. Wcale nietrudno wyliczyć, że na przykład w roku ubiegłym w przemyśle bawełnianym co 45 pracownik złożył wniosek racjonalizatorski.

Pewnego przekwalifikowania wymagał także fakt rozbudowy w stolicy włókna — innego przemysłu. Udział zatrudnionych w ciągu dwóch ostatnich lat zmniejszył się w przemyśle lekkim o 7 proc podczas gdy w metalowym i chemicznym wzrósł o 1 proc. A przecież proces ten dopiero się rozpoczął i pod koniec 1965 roku w metalu i chemii pracować będzie już co piąty, zatrudniony w przemyśle łódzkim.

Ale nie tylko nowe maszyny i nowe dla naszego miasta gałęzie przemysłu stawiają przed klasą robotniczą zadanie rozszerzania wiedzy zawodowej i ogólnej Niejako zmusza do tego także samorządność robotnicza. Decydować o swoim zakładzie, o jego skomplikowanych zagadnieniach może tylko człowiek o szerokim horyzoncie myślowym. Samo doświadczenie — choć odgrywa w życiu fabrycznym kolektywu dużą rolę — przestaje wystarczać. Wyborcy coraz częściej pytają: a wykształcenie?

W łódzkich fabrykach szeroka jest reprezentacja robotników w samorządzie zakładowym: 65 proc. — wobec 28 proc. pracowników inżynieryjno-technicznych i 7 procent administracyjnych. 1720 robotników korzysta z arsenału środków, które zapewniają im współudział w zarządzaniu zakładami. Nie brak przykładów, świadczących o rozsądku i dużej gospodarności samorządów, o szerokim ich zainteresowaniu wydajnością pracy, jakością wytwarzanych towarów, obniżką kosztów własnych. Kolektywna mądrość robotników toruje drogę coraz lepszym wynikom ekonomicznym.

Jakże znamienne są fakty obniżenia ilości postojów w przędzalniach cienkoprzędnych przemysłu bawełnianego o 50 proc. w ciągu ostatnich czterech lat, a w tkalniach o 30 proc. Samorządy robotnicze — zanotowała ostatnia łódzka sprawozdawczo-wyborcza konferencja partyjna — mają szczególne zasługi właśnie w usprawnieniu organizacji pracy w fabrykach.

Wypowiadamy często jednym tchem: gospodarze zakładów. Traktujemy często tę największą prawdę naszych dni jako propagandowy slogan. Nie, to nie slogan. Faktom przeczyć niepodobna...

Powiedzą może niektórzy: nasze życie jest przeekonomizowane, ani krzty w nim romantyzmu. Codzienność zamknięta wskaźnikami. Gdzie się obrócisz — długie kolumny liczb. Nie uniknięto ich i w tym okolicznościowym artykule. Na rewolucyjnych tradycjach miasta kładzie się cień codzienności, szarej, nieciekawej...

Nieciekawej?

Pamiętam — pytano kiedyś polityków młodych państw afrykańskich, dlaczego niektóre z nich patrzą uważnie na Wschód, dlaczego, w swej gospodarce korzystają z doświadczeń krajów socjalistycznych? Odpowiedzieli po prostu: Afryka nie ma czasu, Afryka musi się śpieszyć w odrabianiu wiekowych zaniedbań... Dla Afryki ambasadorami dwóch światowych systemów są liczby obrazujące rozwój ich ekonomiki. Dla Afryki i innych kontynentów. Walka we współczesnym świecie rozstrzyga się bowiem na płaszczyźnie liczb, na froncie ekonomicznym.

I tak, jak niegdyś imię Łodzi rozsławiła jej rewolucyjna przeszłość, dziś — jako cząstki Polski i cząsteczki całego obozu socjalistycznego — rozsławia każdy szary, pozornie tylko nieciekawy, dzień. Jego zaś bohaterem jest przede wszystkim klasa robotnicza.

W. BEK

SŁYNNI REŻYSERZY FILMOWI

Na ogół w naszej mieszance filmowej zazwyczaj pokazujemy sławne aktorki i aktorów filmowych. A jak wyglądają ci, którzy tworzą filmy — reżyserzy filmowi?

Oto (od lewej) znakomity reżyser amerykański Orson Welles, twórca „Obywatela Kane'a". (Po prawej zaś) tak wygląda Roger Vadim słynny francuski reżyser, który m. in. wylansował Brigitte Bardot.

OGLĄDAMY *na* EKRANACH

W czołówce filmów premierowych, które CWF przewiduje rozpowszechniać jeszcze w tym miesiącu, znajduje się słynna już na świecie filmowa „PODRÓŻ BALONEM" reż. Alberta Lamorisse'a. „Współczesny poeta ekranu" jak nie bez kozery nazywają Lamorise'a krytycy, wytrwale kontynuuje w swojej twórczości trudną formułę filmu poetyckiego. Jego filmy: „Bim", „Biała grzywa", „Czerwony balonik" — to filmowa konkretyzacja ludzkich marzeń, czyjejś wyobraźni, pragnień.

Piękny kolor, naprawdę rewelacyjne zdjęcia panoramiczne wszystkich niemal zakątków Francji, poprawna narracja — oto podstawowe walory tego pięknego i uroczego filmu nagrodzonego w 1960 r. na Festiwalu w Wenecji I nagrodą.

Ostatnia filmowa rola Clarka Gable, jedna z najlepszych dotychczasowych kreacji aktorskich Marylin Monroe, sekundujący im znakomity Montgomery Clift, scenariusz znanego dramaturga amerykańskiego, eks-męża M. M. — Arthura Millera i wreszcie wszystko razem wyreżyserowane przez Johna Hustona, autora „Moulin Rouge", „Afrykańskiej królowej" i „Moby Dicka" — są na pewno atutami reklamowymi filmu „SKŁÓCENI Z ŻYCIEM" — jednego z najbardziej zagmatwanych i dyskusyjnych filmów amerykańskich.

Historia młodej rozwódki szukającej „nowego" w życiu, czego co sama dobrze nie umie sprecyzować — może wrażliwości partnera, może uczucia i ciepła, została w scenariuszu Arthura Millera skomplikowana do tego stopnia, że momentami trudno nie posądzić wybitnego dramaturga o ładowanie do jednego worka zbyt dużo już nie spraw a problemów ludzkiej psychiki. Na pewno można się dopatrzyć w „Skłóconych z życiem" autobiografii Marylin Monroe i Arthura Millera, odbicia ich nieudanego małżeństwa, rozwodów M. M. Film jest dobrze grany, niestety nie z winy reżysera posiada słabe tempo narracji poza jedyną świetną sekwencją zmotoryzowanego rodeo — polowania z ciężarówki i samolotu na dzikie konie w Texasie. Jest w tej sekwencji odbrązowienie słynnego Dzikiego Zachodu z romantyzmu jakie o nim niosły do tej pory wszystkie westerny. W filmie Hustona ukazane zostało tylko wyrafinowane okrucieństwo zwykłych końskich hycli. Wszystkim bardziej wytrwałym i sumiennym miłośnikom sztuki filmowej „Skłóconych z życiem" naprawdę warto polecić.

Niestety, takiego apelu nie kierowałbym w związku z wyświetlanym „HERSZTEM" reż. Bernarda Bordiere, z Fernandelem i skądinąd świetną Barbarą Laage („Szczęśliwa droga"; „Winna"). Należę chyba do dość licznej grupy ludzi, którym gierki Fernandela już się przejadły; tym bardziej że scenariusz „Herszta" nie grzeszy ani oryginalnością akcji, ani ciekawą intrygą kryminalną. Scenariusz tego filmu stanowi przykład schematu dawno już oglądanego w wielu francuskich filmach i to właśnie z Fernandelem. Dla przykładu, „Człowiek w nieprzemakalnym płaszczu", w którym to filmie Fernandel wplątany był mimo woli w zakres działania gangsterów. Podobny schemat oglądamy w „Herszcie". Oklepane chwyty reżysera i znane gierki Fernandela choć początkowo bawią, później już tylko irytują. A chyba komedia filmowa winna przede wszystkim zawierać element niewymuszonej zabawy i niewymuszonego śmiechu.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

Pod niebem Italii

Już tylko dni dzielą nas od rozpoczęcia Festiwalu Filmowego w Cannes (7–23 maja). Wielki galowy pokaz włoskiego filmu nowelowego „Boccaccio-70" otworzy te malownicza manifestacje światowej kinematografii. Festiwale to przedziwny stop najróżnorodniejszych kruszcow. Barwny jarmark snobizmu, kiermasz gwiazd i gwiazdeczek, nowoczesny supermarket, w którym sprzedaje się i kupuje towar zwany filmem, giełda krytyków i twórców. A jednocześnie są festiwale przeglądem najciekawszych pozycji roku, termometrem zmian, miejscem objawień nowych tendencji i talentów. To właśnie dzięki nim można najlepiej uchwycić linie rozwojowe współczesnej kinematografii i jej najciekawsze zjawiska.

I nieprzypadkowo chyba tegoroczny Festiwal zainauguruje projekcja filmu włoskiego, w czołówce którego widnieją nazwiska Felliniego, Viscontiego, Vlaselliego, De Sici, Monicelliego. Kinematografia włoska zajmuje obecnie pierwsze miejsce w Europie pod względem ilości produkowanych rocznie filmów. Nie to się jednak liczy. Już od dobrych dwóch lat obserwujemy artystyczny renesans włoskiego filmu. Przede wszystkim świetna obsada reżyserska. Wielkie indywidualności twórcze: Antonioni, Fellini, Visconti, De Sica i chyba Rossellini; znakomity komplet reżyserów starszego pokolenia: Zampa, Germi, Castellani, Blasetti, Lattuada, Comencini; bardzo interesująca reprezentacja młodszej generacji: Maselli, Rosi, Risi i wreszcie obiecujące debiuty: Lomi, Vancini, Damiani, Gregoretti. Taki zestaw nazwisk (a można by ich wymienić znacznie więcej i to wcale niegorszego autoramentu) mówi sam za siebie. Z jednej strony dużo młodych talentów, z drugiej młodzieńczość „starych", którzy dotrzymują kroku swoim czasom i potrafią nadal dostrzegać nowe, ważkie problemy i równie nowe rozwiązania formalne. Nieustanna aktywność starszej generacji włoskiego filmu jest doprawdy zdumiewająca. Ale nie mniej istotne jest ciągłe pojawianie się nowych talentów, ów istny deszcz debiutów, spadający obficie z pogodnego włoskiego nieba.

Czy można więc mówić dziś o nowej włoskiej szkole filmowej? Chyba nie... Bogactwo indywidualności idzie tu bowiem w parze z różnorodnością tendencji. Czyż można do jednego wpakować worka wnikliwego badacza duszy współczesnego człowieka — Antonioniego i subtelnego poetę a zarazem kaznodzieję ekranu — Felliniego, metodę bezosobowego opisu Olmiego i społeczną pasję Zampy, twardą epickość Rosselliniego i kruchy liryzm De Sici, drapieżność Visconti ego i ironiczny wdzięk Monicelliego? Oczywiście można tak nieskończenie. Niemniej zasadnicza, i jak się zdaje wspólna cecha dzisiejszego filmu włoskiego jest jego zdecydowanie nonkonformistyczny charakter, niezależnie od tego czy chodzi o wartości moralne (Antonioni, Fellini) czy społeczne lub obyczajowe (Maselli, Rosi). Drugą cechą tej kinematografii jest jej „zaangażowanie". To jest właściwie film wojujący, film odważny, który nie lęka się oskarżać własnego społeczeństwa, własnego narodu. Znakomitym tego przykładem było wyświetlane u nas niedawno dzieło Vancinigo „Długa noc 43 roku". A oto dalsze przykłady i to najświeższe.

Włoski zestaw na festiwal w Cannes: „Salvatore Giuliano", Francesco Rosi, „Rozwód po włosku" Pietro Germi i „Trudne życie" Dino Risi.

Rosi nie skorzystał z łatwej możliwości stworzenia jeszcze jednej legendy i jeszcze jednego mitu wokół postaci słynnego sycylijskiego bandyty. Bohaterem filmu jest nie sam Giuliano, ale społeczeństwo! — jak mówi jeden z krytyków F. Saechi „te ciemne siły, które posłużyły się bandytą i dały mu broń do ręki aby bronił ich przywilejów ekonomicznych i władzy politycznej". Pasja oskarżycielska połączona z wnikliwą analizą stosunków społecznych nadaje filmowi Rosi wielką siłę wyrazu. Zrobienie takiego filmu było niewątpliwie aktem odwagi. Tak jak aktem odwagi był „Rozwód po włosku" — małe arcydzieło ironii i dowcipu Germi z iście włoską lekkością podjął problem anachronizmów obyczajowych i prawnych panujących dotychczas we Włoszech. Komediowa forma nie ujmuje powagi poruszonej przez twórcę sprawie. Żart, groteska, zgryźliwa ironia łączą się w jednolitą całość. W tej absurdalnej, zdałoby się historii o baronie, który nie mogąc otrzymać rozwodu, prowokuje żonę do zdrady a następnie zabija ją „w afekcie" by po 3 latach wyjść z więzienia (zabójstwo „w obronie honoru" stanowi okoliczność łagodzącą) i ożenić się z inną. Tak właśnie wygląda rozwód po włosku. Rzadko któremu reżyserowi udało się w tak zręczny i inteligentny sposób utrzymać ironiczny ton narracji i prezentowania postaci. Dzięki temu absurdalność zdezaktualizowanych a wciąż jeszcze obowiązujących praw, nonsensowność pewnych głęboko w świadomości społecznej zakorzenionych pojęć — rysuje się szczególnie ostro.

I raz jeszcze własny naród pod pręgierzem. „Trudne życie" — komiczne i smutne zarazem perypetie człowieka, który (podobnie jak nasz Piszczyk acz dla innych przyczyn) nie potrafi przystosować się do życia i jego ciągłych zmian, nie potrafi znaleźć miejsca dla siebie. Zręcznie operując tą postacią Risi kompromituje jej otoczenie, kompromituje oportunizm i absolutny brak zasad społeczeństwa, ale kompromituje również swego bohatera. Jest on zbyt słaby, by przeciwstawić się otoczeniu, by walczyć o zachowanie własnej indywidualności, ale zarazem zbyt uczciwy, by umieć w każdej sytuacji zginąć kark. Dlatego zawsze przegrywa. „Trudne życie" wywołuje salwy śmiechu na widowni, zmusza jednak do niezbyt wesołych refleksji.

Wydaje się, że te trzy filmy są jakoś reprezentatywne dla kinematografii włoskiej, że uwydatniają cechy różniące ją od innych narodowych „nowych fal". Nonkonformizm przede wszystkim zaangażowanie społeczne mają swe głębsze przyczyny w rzeczywistości życia narodu. Włochy przeżywają obecnie okres niesłychanej koniunktury gospodarczej i politycznej. Rośnie wielki nowoczesny przemysł. Oblicze kraju zmienia się z dnia na dzień. Ale moralność, obyczaje, mentalność pozostały jeszcze daleko w tyle. W świetle przemian ekonomicznych wydają się one tym bardziej absurdalne i anachroniczne. Filmowcy włoscy wzięli na swe barki ciężar podjęcia batalii o nowy społeczny i obyczajowy profil Włoch, o przystosowanie go do ducha dzisiejszych czasów. Przestarzała struktura społeczna, oportunizm i bierność, zmurszałe od wieków instytucje i prawa hamują bowiem rozwój postępu i wszechstronny rozwój istoty ludzkiej.

MARIA KORNATOWSKA

JERZY WILMAŃSKI

„PIKAS" i MARCHEWKA

Na wstępie pytanie: czy najbardziej istotny wpływ na kształtowanie powszechnego zmysłu estetyki zyskały u nas wystawy plastyczne? Czy może umiejętności właściwego spojrzenia na dzieło plastyczne uczą przede wszystkim muzea?

Ani jedno, ani drugie. Największy pod tym względem wpływ wywiera na przeciętnego człowieka... handel. W muzeum, na wystawie plastycznej bywamy kilka razy do roku. W sklepie — setki razy. Od tego z jakim smakiem zaprojektowane jest wnętrze sklepu zależy zatem bardzo wiele. Zależy w dużej mierze poziom kultury plastycznej społeczeństwa. Dlatego tak niepokoją mnie dyrektorzy przedsiębiorstw z amatorstwa pro-

jektujący wnętrza czy neony. Dlatego niepokoi niemal absolutny brak kontroli plastycznej nad działalnością niektórych domorosłych projektantów. I dlatego właśnie — z uwagi na niewątpliwie społeczny charakter tych spraw — chciałbym zasygnalizować kilka problemów z zakresu tzw. wystroju plastycznego.

W swoim czasie jedna z łódzkich gazet cieszyła się niezmiernie powołaniem przy Wydziale Kultury RN — „Miejskiej Komisji Plastycznej". Oczywiście, taka Komisja jest Łodzi niezbędna. Oczywiście, złożono bardzo wyczerpujący materiał dotyczący prac Komisji. Wydział Kultury Komisję zatwierdził. A Komisja nie działa. Dlaczego?

Otóż dla uzyskania mocy działania Komisji konieczna jest uchwała Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi. Dotychczas takiej uchwały nie podjęto i w kołach dobrze zorientowanych mówi się, że nie zostanie ona podjęta nigdy. Ponoć ze względu na konieczność zwiększenia etatów. Wiem, że etaty to rzecz święta i trudno dyskutować z urzędnikiem, który wytacza tak ważki argument, ale pozwolę sobie przypomnieć Dziennik Urzędowy Ministerstwa Kultury i Sztuki nr 5 z 1961 roku, gdzie nader jasno mówi się o obowiązku powoływania przez odpowiednie Wydziały Kultury komisji plastycznych.

Dobrze — zapyta ktoś — ale przecież musi istnieć aktualnie jakaś komisja decydująca o kształcie projektów plastycznych wnętrz, neonów, plansz, szyldów itp. Owszem, istnieje. O przydatności projektu przedstawianego przez plastyka decyduje... Wydział Architektury. To oczywiście nic złego, bo projekt neonu czy wnętrza sklepowego musi być oceniony przez architekta, który w końcu odpowiada za to, że ściana się nie zawali, a neon nie spadnie przechodniom na głowę. Ale podkreślam, tu odpowiedzialność architekta winna się kończyć. Ingerencje Wydziału Architektury typu: „mnie się ten kolor nie podoba", lub: „mnie nie odpowiada ten typ liternictwa" — są absolutnie niedopuszczalne. A niestety, zdarzają się bez przerwy.

Najsmutniejsze jest jednak to, że od decyzji Wydziału Architektury nie ma praktycznie odwołania. Zdarzają się więc paradoksalne sytuacje: autor projektu, absolwent Wyższej Uczelni Plastycznej, członek Związku Polskich Artystów Plastyków — którego praca przeszła przez filtr komisji sztuk plastycznych, przez filtr Rady Artystycznej ZPAP, oceniona więc była przez fachowców — musi wbrew swojemu przekonaniu zmieniać projekt, bo tego chce człowiek, którego uprawnienia pod tym względem są co najmniej problematyczne.

Istniejąca Rada Artystyczna ZPAP, jak wskazuje sama nazwa, jest organem Związku Plastyków i ocenia wyłącznie projekty swoich członków. Wydaje się, że jeśli naprawdę niemożliwe jest powołanie w Łodzi Miejskiej Komisji Plastycznej, należałoby może rozszerzyć i dokładnie określić kompetencje Rady.

Oczywiście najlepszym rozwiązaniem byłaby właśnie Miejska Komisja Plastyczna, w której zasiadający wspólnie zarówno architekci jak i plastycy na pewno doszliby z sobą do porozumienia. Skoro to jednak niemożliwe, niechże Wydział Architektury ocenia wszystkie składane projekty reklam, wnętrz, neonów itp. pod kątem swojej specjalności i swoich kompetencji, a Rada Artystyczna ZPAP niech decyduje o wartościach plastycznych, estetycznych projektu.

Dotychczas historia wygląda tak: projekt złożony przez plastyka i oceniony pozytywnie przez Radę może zostać zdyskwalifikowany pod względem plastycznym przez Wydział Architektury

i pójdzie do kosza. Albo odwrotnie. Projekt oceniony przez Radę negatywnie może się akurat w Wydziale Architektury podobać i bez względu na jego rzeczywiste wartości plastyczne będzie wykorzystany.

Nawiasem mówiąc, cała ta historia byłaby nawet zabawna, gdyby nie to, że jest w gruncie rzeczy żałosna. Jak widać — projekty członków Związku Polskich Artystów Plastyków, a zatem fachowców przechodzą przez komisje, są konsultowane, oceniane, dyskutowane... Natomiast Rada Artystyczna ZPAP nie ma absolutnie żadnego wpływu na prace różnych „chałturszczyków". Istnieje więc sytuacja nie z tej ziemi. Kontroluje się ludzi, którzy tego na dobrą sprawę nie potrzebują, nie kontroluje się natomiast różnego rodzaju podejrzanych półplastyków, którzy bez przeszkód pacykują nam miasto, że hej!

Pozostaje jeszcze sprawa plakatów, etykiet itp. Widzimy często na murach koszmarne zawiadomienia o zabawach, gdzie bywa zazwyczaj — „bufet obficie zaopatrzony" i „Orkiestra doborowa Parlano-Zafajdiniego". Często afisze te ozdabiane są rysunkiem tańczącej pary czy wizerunkiem saksofonisty. Od tych obrazków robi się słabo, albo zaczynają natychmiast boleć zęby.

Te „dzieła" zatwierdza Wydział Kultury. Ale też chyba nie wszystkie, bo choć w Wydziale nie pracuje żaden plastyk, trudno uwierzyć, aby którykolwiek z pracowników odważył się dać swój placet na podobne kicze. Daje, nie daje jednak faktem jest, że owe bohomazy przedostają się na mury i płoty, szczególnie na przedmieściach Łodzi. Wydaje się, że warto zobowiązać Dzielnicowe Referaty Kultury, aby zwróciły na tego rodzaju twórczość baczniejszą uwagę.

Na zakończenie wróćmy do spraw nieco ogólniejszych. W środowisku plastycznym panuje opinia, że istnieje konieczność opracowania jakichś ogólnych zasad dotyczących tzw. reklamy wizualnej. Wiadomo, że w innych krajach sprawy te

są dość szczegółowo badane, istnieją specjalne instytuty reklamy plastycznej, publikuje się książki z tego zakresu itd. U nas plastyk-projektant w dalszym ciągu pracuje pod presją inwestora. Mówi się wśród plastyków, że dyskusje z inwestorem często zajmują więcej czasu niż samo opracowanie projektu.

Przychodzi, na przykład, do pracowni sztuk plastycznych urzędnik z instytucji zamawiającej projekt wnętrza sklepu — powiedzmy — warzywniczego i mówi: „ja chcę tu różową ścianę, tu zieloną, a tu panowie namalują marchewki". Plastyk musi więc metodą łagodnej perswazji przekonać faceta, że od kolorów i malunków jest on — plastyk, który się na tym zna, a nie on urzędnik, którego kontakt z plastyką zaczął się być może dziś z okazji zamówienia.

Pogaduszki takie nadwerężają nerwy obu stron, zabierają wiele czasu i... czasem plastyk ulega. Urzędnik ma bowiem tę przewagę, że płaci. Stąd często w niektórych projektach plastycznych dominuje wątpliwej wartości estetycznej zdobnictwo. Tak bowiem często życzy sobie inwestor.

Gdyby jednak opracowa-

ne zostały ogólnie obowiązujące zasady, dotyczące projektów wnętrz, reklam, neonów, nie mielibyśmy wypadków, ulegania nie najlepszym często gustom zamawiającego. Można byłoby wtedy powiedzieć inwestorowi wręcz: „marchewki i różowe ściany może sobie pan namalować w domu — w lokalu publicznym jednak będzie tak jak tego wymagają choćby elementarne zasady estetyki"

W DWUDZIESTĄ ROCZNICĘ POWSTANIA PPR

KAZIMIERZ PRZYBYŁ-STALSKI

NAD RAWKĄ toczył się bój

Budził się poranek dnia 6 sierpnia 1943 roku. Żniwa były w pełni. Gdzie oczy spojrzały, wszędzie stały snopy skoszonych zbóż. Z bezkresnych przestworzy bił słoneczny żar. Na niebie cisza, zwiastun — jak mówią rolnicy — zbliżającej się burzy. Skoszone łany czyniły widoczną z dala okolicę, gdzie stały łowickie wsie ze wstydliwie kryjącymi się zapadłymi strzechami. Na horyzoncie odcinały się długą ciemną wstęgą lasy, a strzeliste przydrożne topole wskazywały kierunek, którędy dojść można było do wsi.

W taki to pogodny sierpniowy poranek 1943 roku nawiedziły ziemię łowicką karne ekspedycje niemieckie. Od strony Żyrardowa, Skierniewic, Humina, Bolimowa i Nieborowa szli germańscy Hunnowie. Drogę torowały im tankietki, wozy pancerne, działa lekkiej artylerii zaczaiły się z dala na wzgórzystym leśnym terenie, piechota maszerowała zwartymi kolumnami, wysunięte szpice „przeglądały" wiejskie zagrody, zaglądały w każdy zakątek. Las bolimowski został przeczesany. Szerokim skrzydłem i wielkim łukiem, wolno, ostrożnie, wróg posuwał się w głąb łowickiego powiatu i zbliżał się do celu. Wokół parceli w Smolarni i Popielarni tworzył się kocioł. Żelazem i stalą chcieli zamknąć Niemcy w pierścieniu przebywające tam oddziały partyzanckie Gwardii Ludowej „Maćka", „Szperacza" i „Michała".

Wieść o karnych ekspedycjach niemieckich szybko dotarła do Łowicza. Nie wiedzieli o nich jeszcze partyzanci. Oficer organizacyjny dowództwa AL w Łowickiem „Franek"[1]) po otrzymaniu informacji o ruchach wojsk niemieckich i po ustaleniu danych o kierunkach oskrzydlenia terenu przez oddziały nieprzyjaciela, wyruszył nie zagrożonymi drogami do miejsca postoju partyzantów. Po odebraniu od Franka meldunku, zwołano sztabową naradę. Postanowiono dokonać przegrupowania sił i wycofać rannych kolegów w bezpieczne miejsca. Partyzantów natomiast miał wyprowadzić z okrążenia Franek na czele szturmowego oddziału „Maćka". Z chwilą nadejścia ciemności przedstawiciel dowództwa AL Warszawa-Lewa II Narbut, zalecił oddziałom przeprowadzenie ćwiczeń. Trwały one 2 godziny. Około północy oddziały wymaszerowały z Popielarni w kierunku powiatu rawsko-mazowieckiego, zamierzając przejść tory kolejowe w okolicach Miedniewice—Rawka.

Po północy zerwała się wichura i rozszalała burza. Po godzinnym marszu, który odbywał się w czasie ulewnego deszczu, oddziały zboczyły z ustalonej marszruty i zatrzymały się we wsi Zabudziska w powiecie skierniewickim. Na kwatery zajęto trzy gospodarstwa, w tym jedno dla dowództwa u obywatelki Czaplarskiej. Noc minęła spokojnie. A kiedy przyszedł świt dnia 7 sierpnia 1943 roku, w oddziałach radzono nad wydostaniem się z okrążenia. Była godzina 7 rano. Franek wyszedł przed zagrodę Czaplarskiej. Nagle, cóż to? — słyszy wyraźnie warkot motoru. Nadsłuchuje. Warkot staje się z każdą chwilą wyraźniejszy. Nie ulega już żadnej wątpliwości, że pochodzi on z samochodu. Franek rozgląda się uważnie, na razie jednak niczego nie dostrzega. A kiedy miał wejść do zagrody, aby zawiadomić o swoim spostrzeżeniu przebywających w chacie partyzantów, wyłoniło się zza zakrętu auto pancerne. Widząc stojącego na drodze mężczyznę, Niemcy zatrzymali samochód przed zagrodą Czaplarskiej. Wyskoczyło z niego pięciu żandarmów z okrzykiem

— H a l t!

Franek nie traci równowagi ducha. Cofa się ku zabudowaniom oddając 4 strzały do Niemców. Dwóch żandarmów kryje się za pancerkę, trzech biegnie za Frankiem, który usiłuje skryć się za budynkami gospodarskimi. Zaślepieni w pogoni żandarmi nie zauważyli głębokiego dołu, który czyhał na nich w podwórzu po wywiezionym oborniku. Wpadają w pułapkę. Franek korzysta z zamieszania i oddala się od nich. Zaalarmowani strzałami wybiegają z zagród partyzanci. Maciek zajmuje stanowisko za płotem i otwiera seryjny ogień do pancerki. Samochód wycofuje się ze wsi w kierunku Radziwiłłowa. Ale pozostało trzech żandarmów, którzy wyszli z dołu, ci ścigają Franka, który biegnie w kierunku lasu. Franek ostrzeliwuje się, chce za wszelką cenę opóźnić pogoń i zyskać na czasie. Z pomocą przychodzą mu koledzy, którzy biorą na cel Niemców. Kule karabinowe powstrzymują pogoń. Przerażeni żandarmi wycofują się do zabudowań gospodarza Kamińskiego. Narbut poleca oddziałom wycofanie się do lasu skierniewickiego. Odległość jest niewielka, z dala widać stojącą przy lesie wieś Bartniki. Partyzanci podchodzą do niej. Niemcy otaczają na samochodach oddziały od strony wsi Grabia, Nadleśnictwa Tartak i Bolimowa. Dwie kolumny wojska uderzają na partyzantów, którzy schronili się w dolinie, próbując ich zamknąć w kleszczach.

W pewnej chwili Niemcy utracili łączność ze sobą. Dzięki nieporozumieniu dochodzi między nimi do wymiany strzałów. Partyzanci wykorzystują to i cofają się doliną w kierunku rzeki Rawki. Usiłują sforsować ją i wydostać się z okrążenia. Niemcy grupują siły na dukcie i przeszukują las. Znów wzmaga się ogień, ginie partyzant „Biały" — podoficer niemiecki, który zdezerterował z frontu i wstąpił w szeregi GL. Pozycje erkaemów, które obsadzone są przez Rosjan, napotykają na silną tyralierę niemiecką.

Walka toczy się na dwóch odcinkach. Ginie załoga jednego z gniazd karabinu maszynowego, jeden żołnierz został ciężko ranny. Niemcy usiłują wyprzeć partyzantów na trakt leśny. W dolinie głębokiego jaru obsada dwóch karabinów maszynowych przełamuje zaporę niemiecką na dukcie. Na zapleczu oddziałów odzywa się silny ogień z niemieckiej broni maszynowej. Oddziały znów usiłują przeforsować Rawkę i przejść do lasów nieborowskich, ale na przeszkodzie stoi silny obstrzał niemiecki z lekkiej artylerii i granatników.

Po pewnym czasie partyzanci cofają się w głąb lasu i maskują pozycje wśród szuwarów, aby następnie wycofać się do Bolimowa. Nie przychodzi im to łatwo. Wokół są Niemcy. Z dala widać zabudowania wsi Ziemiary, a obok niej snuje się kręte koryto rzeki Rawki, które od strony Bolimowa i od stacji Rawka jest silnie obsadzone przez Niemców. Na dachach zagród czyhają gniazda karabinów maszynowych, które ostrzeliwują pozycje partyzanckie od strony rzeki. Jest już popołudnie, partyzanci są wyczerpani długotrwałą walką, dokucza im głód. Przedarcie się do Skierniewic jest również niemożliwe. Po naradzie dowództwa zapadła decyzja przedarcia się przez pola i doliny do Bolimowa. Pomiędzy wsiami Bolimów i Joachimów Niemcy rozstawili silne tyraliery i przeczesują las. Do akcji wprowadzony zostaje samolot wywiadowczy, który próbuje rozpoznać sytuację po stronie partyzantów. Niemcy wypierają oddziały ze skraju lasu na pola, teraz sytuacja dla oddziałów jest niekorzystna, jeszcze tylko rowy i snopy zbóż stanowią naturalną osłonę dla walczących. Od strony Bolimowa, Mogił i cmentarza odbywają się przegrupowania sił niemieckich. Wróg nie był zorientowany o stanie liczebnym oddziałów, a posiadały one razem 47 żołnierzy. W tej sytuacji partyzanci podejmują skuteczny wysiłek przedarcia się do lasu i kryją się w okopach z czasów pierwszej wojny światowej.

Zapada mrok. Niemcy tracą na animuszu, po ich stronie jest wielu zabitych, byli i ranni. W walce tej brało udział po stronie Niemców 3000 żołnierzy. Ogień wroga słabnie, „Maciek" opiera podstawę lufy erkaemu o ramię Franka. Celuje. Po chwili odzywa się trzask, kule lecą na pozycje nieprzyjaciela. Są to ostatnie strzały. O północy oddziały wycofują się z pola walki do Woli Szydłowieckiej. Bój nad Rawką, na szlaku Władysława Jagiełły z 1410 roku i powstania styczniowego z 1863 roku — został zakończony.

1) Franciszek Zawadzki

WIELKA przeprowadzka

Dalszy ciąg ze str. 1

OCZEKIWANIE, WALKA I TROSKA

Dokładnie rok temu, 29 kwietnia 1961 roku zaproszono ich troje, starych widzewiaków — Jatczaka, Similaka i Stopczyńską — do wmurowania kamienia węgielnego pod nowe osiedle. Wmurowywali więc w asyście przedstawicieli najwyższych władz Łodzi.

Ich „budy" stały wtedy jeszcze nienaruszone, a oni myśleli: może za 5 lat osiedle będzie zbudowane, może nawet ktoś z nas tu zamieszka?

Z tymi nieśmiałymi marzeniami wrócili po uroczystości na swoje podwórko. Podwórko było wspólne dla czterech bud, w których gnieździło się 27 rodzin.

Jakoś z końcem maja zjawił się na podwórku ktoś z kierownictwa budowy. Zachowywał się wyzywająco, nawet groził nagłą eksmisją. Zawrzało w nich oburzenie: Jak to, przecież stawiano już im propozycje, mogli dostać mieszkania w blokach, na Dołach, Żubardziu albo Rokiciu, nie chcieli jednak opuszczać Widzewa. I teraz, kiedy wymarzone osiedle wreszcie przyszło do nich, kiedy tuż obok zaczęły wyrastać ściany nowych domów, mieliby odejść nie wiadomo dokąd? Tak się ceni patriotów?

Zareagowali spontanicznie. Pięć kobiet wybrało się w roli delegacji z wizytą do mieszkania Michaliny Tatarkówny. Wszystkie znały ją od lat, jeszcze z pracy w fabryce.

Opowiada mi jedna z „delegatek" — Helena Jaguszewska: „Pierwszego czerwca Tatarkówna zwołała na Widzew całą elitę Łodzi. Wiedziałyśmy, że starym widzewiankom nie da zrobić krzywdy".

Na początek zdecydowano, że lokatorzy „bud" dostaną na razie mieszkania zastępcze, zaś później przeniosą się do jednego z bloków. Dzięki pomocy i opiece komitetu dzielnicowego partii i Prezydium DRN okazało się, że dodatkowa przeprowadzka nie będzie potrzebna, przed rozebraniem „bud" uda się wykończyć jeden z bloków.

Te kobiety (a z członkiń delegacji tylko jedna, reprezentują młode pokolenie, należy do partii) i owszem, chwalą sobie władze dzielnicy, przy czym „władze" nie są tu jakąś abstrakcją. Wdzięczność kieruje się pod adresem poszczególnych ludzi, którzy tak wiele pomogli. Pamiętają każdą wizytę sekretarza KD — Promińskiego, każdą rozmowę z przedstawicielami DRN — Jakubowskim i Laszczykiem. Wyrazów wdzięczności nie będę cytował, no bo ci, których ona dotyczy byliby na pewno zażenowani.

RODOWÓD

„Któregoś dnia, kiedy wracałam z pracy do domu, akurat zrywali dach z mojej „budy". Tak to odczułam, jakby ktoś uderzył w pierś starego człowieka. 43 lata ten dach mnie przykrywał" — mówi Jaguszewska.

Jaguszewska z mężem, a także 11 innych rodzin z tamtego podwórka w niespełna rok po wmurowaniu kamienia węgielnego, przeniosło się do nowego bloku.

Z tych dwunastu rodzin, losy dziewięciu rodzin są nierozerwalnie związane z Zakładami im. 1 Maja. Similakowie przepracowali tam całe życie, dziś są już na rencie. Podobnie Jaguszewski. Jego żona rozpoczęła 44 rok pracy i 60 rok życia. I tak każda rodzina ma od kilkudziesięciu lat jednego lub nawet więcej „przedstawicieli" w fabryce.

Jatczakowie dostali 2 pokoje z kuchnią na pierwszym piętrze. Helena Jatczakowa opowiada całkiem zwyczajnie:

— Moi rodzice pracowali u Kunitzera. Urodziłam się w „budzie" i mieszkałam tam 50 lat do 13 lutego 1962 roku. Byłam jednym z dziewięciorga dzieci...

— Więc w 11 osób gnieździliście się w jednej izdebce?

— Nie, to nie było tak. Dziecko rodziło się, żyło kilka miesięcy i umierało. Wtedy przychodziło na świat następne. Zostało nas czworo, cztery siostry.

Siostra Heleny Jatczak — Michalakowa, mieszka teraz naprzeciwko, na tym samym piętrze. Nad nimi Bieńkowie. Razem z Bieńkową Helena Jatczak wychowywała się na podwórku od drugiego roku życia, razem pracowały w fabryce. Teraz dzieci też się będą bawić razem, ale na lepszym podwórku.

ADAPTACJA

Mieli swoje małe ogródki, w ogródkach swoje drzewka owocowe, latem obiady pod gołym niebem. Hodowali króliki i kury. Kury zjadali przez kilka niedziel z rzędu, kiedy dowiedzieli się o terminie przeprowadzki. Drzewka owocowe pożegnali bez żalu. Wiedzieli, co dostają w zamian.

Dziś gotują na gazie, którego dobrodziejstwa nigdy dotąd nie doświadczyli. Każdy z członków rodziny śpi osobno w swoim własnym łóżku, co w kunitzerowskiej ciasnocie nigdy nie było możliwe. Takie są podstawowe mierniki awansu, nie mówiąc już o „zbytkach" w rodzaju centralnego ogrzewania czy łazienki.

Z przedpiekla do raju — mówią. I każdy zaczyna się zastanawiać, ile jeszcze zostało mu lat życia, tego pięknego życia.

Mieszkanie i troska o każdy szczegół wypełniają cały czas po pracy. Niektórzy wciąż nie mogą się nacieszyć, wciąż nie mogą uwierzyć.

Niemal wszyscy zdążyli już przez te krótkie miesiące kupić nowe meble. Jeden pokój, ten mniejszy, pozostał jakby żywcem przeniesiony z dawnej klitki, nowe sprzęty zajęły drugi pokój i kuchnię.

Pozostało upodobanie do mebli ciężkich i tradycyjnych, kultywowane jako ideał od urodzenia. Esteci mogą się na to zżymać. Ale równocześnie esteci powinni dostrzec, że to warunki spowodowały takie upodobania, nie zaś abstrakcyjny brak smaku czy gustu.

Syn Jatczakowej, elektromonter, we wszystkich trzech mieszkaniach na swoim piętrze pozakładał ładne „klawiszowe" kontakty. W pełnej światła kuchence Heleny Jaguszewskiej firanki i plastykowe obicia sprzętów harmonizują ślicznym wzorem i kolorami. Znalazła się przestrzeń i światło, znalazł się w ślad za tym również lepszy gust.

Wszystkie mieszkania są czyściutkie, wprost „wychuchane". Na zewnątrz rozkopany plac budowy, a na klatce schodowej ani śladu pyłu, ściany czyste, chociaż wniesiono tędy tyle sprzętów. Na każdym piętrze kwietniki. Oni umieją się cieszyć, umieją dbać.

Wychodzę właśnie, kiedy wszyscy sąsiedzi solidarnie pomagają wnosić kredens do Michalaków. Pomaga również dozorca. I dozorca, nie kłamię, odmawia przyjęcia zapłaty. Też chce być bezinteresownie solidarny.

* * *

Na placu pozostały resztki papy i drzazgi po rozebranych „budach". Przechodząc, trzeba uważać, by nie wpaść do obmurowanego dołu. To dawne piwniczki. Nadchodzi zmierzch, na wierzchołkach dźwigów zapalają się czerwone światełka.

JULIAN BRYSZ

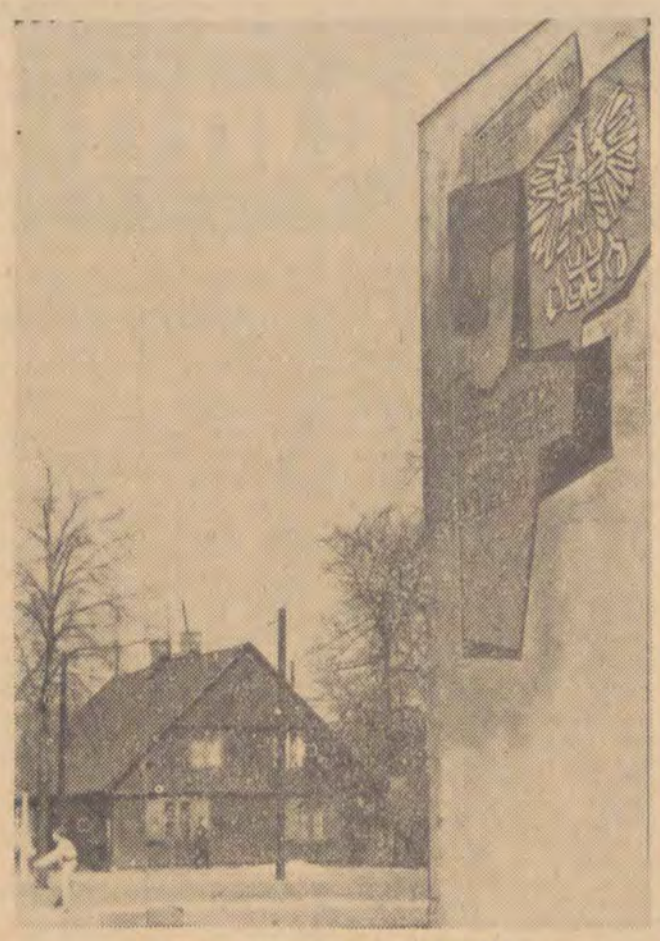

„Szkoła 1000-lecia" na Widzewie.

Mieszkanie pp. Jatczaków.

Bloki przy ul. Konstytucyjnej.
Foto: E. Haneman.

Przed Dniami OŚWIATY KSIĄŻKI i PRASY

Każdego roku obchody Dni Oświaty, Książki i Prasy obfitują w masę najróżnorodniejszych imprez. Podobnie wygląda sprawa i w roku bieżącym, z tym jednakże, iż postanowiono obchodzone dawniej przeróżne Dni Bibliotekarza, Swietlicowego itp. skomasować w jeden obchodzony 13 maja Dzień Działacza Kulturalnego. W tym też dniu odbywać się będą powiatowe spotkania działaczy kulturalnych. Poza tą na pewno słuszną zmianą przebieg uroczystości nie będzie się specjalnie różnił od lat ubiegłych.

W naszym województwie Dni rozpoczęte zostaną otwarciem nowych kin w Sieradzu i Białej Rawskiej. W ramach obchodów doczekają się też zakończenia (19 maja) konkursy pod nazwą „Wiedza pomaga w życiu" i „Piękno Ziemi Łódzkiej" (fotografika).

W Piotrkowie Trybunalskim dzień później otwarta zostanie wielka, bo ponad 400 prac licząca, wystawa plastyków-amatorów i fotografików-amatorów. Jak się dowiedzieliśmy, na wystawę zgłoszono przeszło 5 tysięcy prac i jury zapewnia, że poziom ekspozycji będzie bardzo wysoki.

Jako że „książka" w nazwie obchodów zajmuje drugie miejsce „Dom Książki" włączył się w tegoroczne uroczystości szczególnie aktywnie. Obok wielkiej imprezy połączonej z kiermaszem jaka odbędzie się w Tomaszowie 20 maja — instytucja ta wysyła w teren wagon-księgarnię, który krążyć będzie po województwie z zapasem atrakcyjnych pozycji.

Ponadto planuje się uruchomienie w czasie Dni (ale już na stałe) szeregu punktów bibliotecznych. W roku ubiegłym punktów takich otwarto w województwie aż 60.

No, i wreszcie wycieczka poza teren regionu. W ramach Dni wystawa plastyczna „Ziemia Łódzka w plastyce" powędruje do Zielonej Góry. Czy Zielona Góra zrewanżuje się nam podobną ekspozycją nie wiadomo. W każdym bądź razie mieszkańcy województwa na brak atrakcji w czasie Dni Oświaty, Książki i Prasy narzekać chyba nie będą.

J. W.

Foto: E. Owsik.

Recital młodego pianisty

Niedawno łódzcy melomani mieli okazję wysłuchać interesującego recitalu młodego pianisty Aleksandra Konickiego. Artysta — absolwent Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi (klasa prof. Marii Wilkomirskiej) niespełna rok temu wrócił z Francji, gdzie w Konserwatorium Paryskim studiował u takich pedagogów, jak Jacques Fevrier i Lucette Descaves.

Aleksander Konicki wrócił zresztą nieco „zarażony" Francją, a raczej jej muzyką. Ulubieni kompozytorzy artysty to właśnie Ravel i Debussy. Ich też utwory wypełniły obok Liszta i Bartoka całą drugą część recitalu. Jeśli chodzi o opinie znawców, to były one bardzo pochlebne, a najwyżej oceniono wykonanie „Wyspy radosnej" Debussy'ego. Zresztą całą drugą część koncertu chwalono szczególnie. I to nie tylko wykonanie utworów Ravela i Debussy'ego — których opracowaniem artysta zajmował się specjalnie na swych studiach za granicą. Słuchaczom podobało się bowiem również wykonanie „Suity" Beli Bartoka czy (z I części koncertu) „Chaconne" Bacha w transkrypcji Busoniego.

Słowem, pierwszy po powrocie z Paryża występ młodego pianisty udowodnił, że środowisko muzyczne Łodzi wzbogaciło się o jeszcze jeden autentyczny talent.

Sprawa druga jest nieco kłopotliwa. Organizatorem koncertów młodych artystów bywa z reguły Łódzkie Towarzystwo Muzyczne. Instytucja to pełna dobrych chęci, zapału i entuzjazmu, ale możliwości ma, niestety, raczej niewielkie. Zapytujemy więc czy np. Filharmonia nie mogłaby czasem (raz na dwa-trzy miesiące) odejść od zasady prezentowania wyłącznie artystów o tzw. nazwisku. Przedsięwzięcie takie będzie być może ryzykowne, ale cóż w końcu nie jest ryzykiem, zwłaszcza w sztuce.

E. W.

70 lat temu

Dokończenie ze str. 1

ciągu popołudnia trzeciego dnia strajkowego, strajk rozszerzył się na dziesięć nowych fabryk i objął około 4 400 nowych robotników. Ogółem zatem stało już dnia tego 17 fabryk i uczestniczyło w ruchu prawie 15 tysięcy robotników w samej Łodzi. Największą jednak sensacją tego dnia było przyłączenie się do strajku największych fabryk szajblerowskich, fabryk króla bawełnianego. Oznaczało to, że ruch stawał się potęgą. Robotnicy szajblerowscy wysunęli szereg żądań. Konferował z nimi naczelny dyrektor i współwłaściciel firmy, Herbst. Postawili mu najpierw żądanie usunięcia z fabryki znienawidzonego dyrektora Hugo, który obchodził się nieludzko z robotnikami. „Zobaczę — miał odpowiedzieć Herbst — idźcie do roboty". Na to robotnicy: „To nie wszystko jeszcze, prosimy wielmożnego pana o podwyższenie płacy o 15 proc., i zmniejszenie godzin pracy z 12 do 10" — „To ode mnie nie zależy — odparł Herbst — ja zrobić tego nie mogę, rozmówię się z p. Szajblerem i innymi — idźcie do roboty". Odezwać się miały na to głosy: „To niech pan przynajmniej podwyższy żonatym, my z żonami i dziećmi obstać za tę płacę nie możemy". Herbst miał się na to zirytować. „To po kiego diabła się żenicie, jeżeli nie macie na to, to się nie żeńcie". Słowa te wywołały oburzenie wśród robotników. Wybuchły głosy wściekłości: „Du verfluchter, ty łajdaku, ty psiakrew, oddaj nam swoją żonę i córki... Isz go jaki mędrek! Bić ścierwo po mordzie i tyle!" Herbst uciekł. Charakterystyczne jest, że znów wysunięty został postulat 10-godzinnego dnia pracy, a nie 8-godzinnego, jak to głosiła odezwa.

ROZMIARY STRAJKU W CZWARTYM DNIU AKCJI

5 maja

Śledziliśmy dotąd rozwój strajku z dość dużą ścisłością. Byliśmy w stanie ustalić bieg i rozmiary fali strajkowej. Pierwszego dnia zatem (w poniedziałek 2 maja) fala ta powstała i objęła około 800 robotników; drugiego dnia rano (wtorek 3 maja) nastąpiło chwilowe osłabienie, chwilowe cofnięcie się fali liczba strajkujących spadła poniżej 400; po południu tegoż dnia fala znów wróciła i ruszyła naprzód, dochodząc szybko do prawie trzech tysięcy uczestników strajku; trzeciego dnia (środa 4 maja) fala pobiegła zwycięsko przed siebie, przekraczając rano liczbę dziesięciu tysięcy strajkujących, po południu dochodząc do piętnastu tysięcy. Niestety, począwszy od czwartego dnia strajku, od czwartku 5 maja, nie będziemy już rozporządzać tak dokładnymi cyframi, nie będziemy umieli tak szczegółowo i ściśle przedstawić dalszego rozwoju strajku i przebiegu wydarzeń. Nie będziemy bowiem dysponować tak dokładnym materiałem, płynącym ze źródeł oficjalnych. Fakt ten ma swoją wymowę. Strajk przyjął takie rozmiary, że wymykał się spod dokładnej obserwacji, że nie można było ani obliczyć, ani wymierzyć jego siły.

Istotnie robotnicy podjęli teraz akcję, aby strajk uczynić powszechnym, aby objąć nim wszystkie fabryki. Strajkujący z zatrzymanych już fabryk podzielili się na kilka grup i zaczęli obchodzić pracujące jeszcze fabryki, nakłaniając robotników do przyłączenia się do strajku. Grupa taka podchodziła pod fabrykę, zatrzymywała się przed bramą i wołała z ulicy do pracujących: „Chodźcie, bracia! Chodźcie, siostry!" W niektórych fabrykach, robotnicy, jakby czekając tylko na to hasło, rzucali warsztaty i przyłączali się do strajkujących.

ZACHOWANIE SIĘ ROBOTNIKÓW W CZWARTYM DNIU STRAJKU

5 maja

Wszystkie świadectwa są zgodne w tym, że zachowanie się strajkujących robotników było pełne godności i spokoju.

Posłuchajmy owych świadectw. A więc najpierw źródła robotnicze. Samojło w swych wspomnieniach pisze: „Wyjąwszy drobne zajścia, spowodowane wprost przez głupotę, czy też małych wyrostków, postawa robotników była nadzwyczaj poważna, pełna godności osobistej, spokoju i zrozumienia celu swojego postępowania. Robotnicy w świątecznych ubraniach chodzili po ulicach i lesie kolejowym, śpiewając różne pieśni. Fabrykanci wciąż zbierający się w Grand-Hotelu dla obmyślenia wraz z władzami środków zaradczych, niejednokrotnie sami w gorących słowach wyrażali robotnikom za tę właśnie spokojną postawę wyrazy szczerego uznania... W ogóle zachowanie się robotników było o tle spokojne, o tyle stanowcze".

AKCJA FABRYKANTÓW DNIA 5 MAJA

Łódzki obóz kapitalistyczny stanął po raz pierwszy wobec tak potężnego buntu swych niewolników. Spostrzega on z przerażeniem, że pękła przeciągnięta struna wyzysku i nieludzkiego pomiatania godnością robotniczą. Przeraża go potężniejący huk gniewu ludu, wydobywający się z głębin. Ogarnął go dreszcz na widok zbuntowanego, rozpętanego, żywiołu. „Fabrykanci stanowczo stracili głowę", pisze do Hurki gubernator Miller po zetknięciu się z nimi. Fabrykanci zbierali się w Grand-Hotelu na wielogodzinnych naradach. Pierwszy ich odruch, stosowany zawsze w podobnej sytuacji, to odwołanie się do pomocy władzy. Sytuacja jednak się zmieniła. Przed rokiem wystarczyło jeszcze, gdy Poznański zatelefonował do policmajstra. Teraz jednak władze miejscowe były zupełnie bezsilne. Jeszcze przedwczoraj organa bezpieczeństwa rozpędzały gromadzące się tu i ówdzie tłumy. Wczoraj jednak wobec niespodziewanego, gwałtownego wzrostu ruchu strajkowego zachowały się biernie i nie czuły się na siłach, aby mu się przeciwstawić.

Wynikiem narad fabrykantów było postanowienie zwrócenia się do wyższych czynników. Upoważniono do tego dwóch największych potentatów przemysłu łódzkiego, Szajblera i Poznańskiego. Obaj wysłali koło 1 godziny w południe dwie terminowe depesze, jedną do Piotrkowa do gubernatora Millera, drugą do Warszawy do generał-gubernatora, Hurki. Obie depesze były jednobrzmiące. „Trzydzieści tysięcy robotników rzuciło pracę i zmusza pozostałych do strajku, skutkiem czego grozi największe niebezpieczeństwo... W imieniu wszystkich proszę najpokorniej waszą ekscelencję o nieodmówienie koniecznej bezzwłocznej pomocy. Szajbler, Poznański".

POWSZECHNY STRAJK DNIA 6 MAJA

Piąty dzień strajku

Tymczasem nazajutrz, w piątek 6 maja strajk rozwijał się dalej. Objął on znów szereg fabryk. Zastrajkowała reszta robotników przędzalni Ferdynanda Geldnera, stanęła fabryka Roberta Biedermana (400 robotników), w której w pierwszym dniu strajku były protesty przeciw warunkom pracy, ale która dotychczas w strajku nie brała czynnego udziału, przystąpiła do strajku fabryka Adolfa Dobranickiego, zatrudniająca 213 robotników, w której w drugim dniu strajku były zajścia stłumione przez policję. Przyłączyła się też do akcji czwarta z fabryk szajblerowskich tzw. Tifom, w której pracowało 587 robotników. Wreszcie stanęła w szeregach strajkowych milcząca dotąd fabryka Poznańskiego, która zatrudniała 3 799 robotników. Fabryki te reprezentują nowych z górą 5 000 strajkujących robotników, a zapewne należy doliczyć jeszcze inne fabryki, o których brak nam danych. Krótko mówiąc strajk w dniu 6 maja stał się powszechny i objął cały przemysł łódzki.

AKCJA WOJSKOWA

Rano w piątek szóstego maja w myśl wydanych poprzedniego dnia przez Hurkę i Millera rozkazów, wojsko przystąpiło do akcji tłumienia strajku powszechnego. W zastępstwie komendanta garnizonu jen. Nikitina, komendant 37 pułku pułkownik Mikołaj Bołtin objął dowództwo nad ekspedycją karną, złożoną z 37 pułku jekaterynburskiego i 60 kozaków. Siły te wyprowadził on z koszar i podzielił je na kilka kolumn, które wyprawił we wszystkie strony miasta. Do jednej z takich kolumn przyłączył się i gub. Miller, który towarzyszył jej, aby stwierdzić osobiście, jak przedstawia się sytuacja.

Ulice były pełne robotników, ale na widok zbliżających się wojsk, robotnicy rozbiegali się, podzielili się na grupki po 2—3 osoby i szli spokojnie trotuarami, lub wchodzili do bram. Gubernator wielu zatrzymywał i pytał ich dlaczego się skupiają. Otrzymywał od wszystkich jednakową odpowiedź, że fabryki stoją, więc nie mają nic do roboty. W niektórych miejscach wojsko jednak napotykało na swej drodze skupienia robotników, lub jeszcze częściej dostrzegało zgromadzone tłumy na bocznych ulicach. W takich wypadkach kozacy pędzili ku nim, rozpędzali zebranych nahajkami, a równocześnie policja zatrzymywała i aresztowała bardziej zuchwałych i podejrzanych o podburzanie. To jednak niewiele skutkowało, gdyż robotnicy w chwilę po odejściu wojska zbierali się w innym miejscu.

TADEUSZ GICGIER

ŻUBARDŹ

Tu się wyplątywałem z drutów,
za którymi
krył się agrest, porzeczki, warzywa,
i biegnąc blisko ziemi,
bardzo blisko ziemi,
znajdowałem krzemień
lub szkiełko
z butelki od piwa.

O, dalekie wyprawy na podmiejskie pole,
z których każda
była za krótka.
Rów ją zawsze przecinał,
jar głęboki,
gdzie w dole
bulgotała leniwie Bałutka.

Dalej przestrzeń
sprzyjała już tylko latawcom,
wiatr je niósł na drugi brzeg, nad łubin...
. . . . . .

Teraz
na ten pochyły ugór
wchodzi miasto,
ślady stóp mych zaciera i gubi.

W dzień przemknął odrzutowiec,
pękła z suchym trzaskiem
nić latawca
pod powłoką z dymu.
Przyszedł wieczór
i wtedy
żółtym zza szyb blaskiem
zaświeciły
płomyki łubinu.

STRZELAĆ, NIE SZCZĘDZIĆ NABOJÓW

W gruncie rzeczy zarówno gub. Miller, jak i komenderujący wojskami pułkownik Bołtin nie czuli się zbyt na siłach do walki z kilkutysięczną masą robotniczą. W tak rozległym mieście, przy szczupłej ilości kawalerii, cała działalność wojska była grą w ciuciubabkę, bo tłumy rozpędzane w jednym miejscu, zbierały się w innym. W dodatku Miller i Bołtin mieli jeszcze pewne skrupuły, czy można strzelać, gdyż ofiarą mogą paść i niewinni ludzie. Tymczasem jednak tłum zaczął tu i ówdzie przybierać energiczniejszą postawę i dochodziło do starć między ludem i wojskiem. Tłem tych zajść były głównie fakty aresztowania robotników. Wiemy dokładniej o dwóch zajściach, które wynikły dnia tego w związku z tym, że tłum chciał odbić aresztowanych...

Hurko pod wpływem alarmujących depesz Millera i Bołtina wysłał depeszę do komendanta garnizonu łódzkiego, jenerała Nikitina. Miller i Bołtin donieśli mu przecież, że wojsko rozpędza tłumy, ale te zaraz zbierają się w innym miejscu. Wobec tego, Hurko poleca Nikitinowi postępować energiczniej. Depesza brzmiała: „**Tłumu nie rozpędzać, ale przeciwnie, starać się przyprzeć go do jakiejkolwiek przeszkody, naboju nie szczędzić, a do jutrzejszego rana przywrócić porządek. Jenerał — adjutant Hurko**". Oto autentyczny tekst historycznej depeszy. Brzmiała ona kategorycznie. Nie ma wprawdzie owego słowa „strzelać", ale zostało ono powiedziane już w poprzedniej depeszy, gdzie mowa o użyciu broni siecznej i palnej. Nie brak natomiast bezlitosnych, nieludzkich słów rozkazu „nie szczędzić patronów".

ROZWÓJ WYPADKÓW W SOBOTĘ DNIA 7 MAJA

Szósty dzień strajku

Noc minęła na ogół spokojnie, poza kilku wypadkami rabunków, dokonanych przez bałuckich złodziei. Rano przybyły wezwane z Sieradza dwie sotnie kozackie i zostały po krótkim odpoczynku wysłane na objazd miasta, a zwłaszcza jego krańców. W niektórych fabrykach część robotników stanęła rano do pracy, między innymi w fabrykach Szajblera i Gajera. Większość robotników trwała jednak w walce strajkowej i przeważna część fabryk była nadal nieczynna. Były co prawda wypadki, kiedy robotnicy zgłaszali się do pracy, ale fabrykanci obawiali się fabryki swe uruchomić, albo nie mieli na to pieniędzy. Tak było np. w fabryce Teodora Majerhofa, gdzie robotnicy rano stawili się do pracy, ale właściciel w obawie o los swych maszyn odesłał ich do domów. Rano Miller i Bołtin objechali miasto, ale prócz śladów pogromów nic poważniejszego nie zauważyli.

ZAKOŃCZENIE PIERWSZEGO TYGODNIA STRAJKU

Pierwszy tydzień strajku dobiegał końca. Przeszedł on już okres swego rozwoju, ale nie był jeszcze wcale skończony. Noc z 7 na 8 maja minęła zupełnie spokojnie. Dzień 8 maja był to dzień niedzielny, stanowił on zatem z natury rzeczy przerwę w akcji strajkowej. I tego dnia jednak spokój nie był zupełny. Na mieście rozlegały się jeszcze wciąż odosobnione strzały. Koło godziny 9 wieczorem doszło znów do rozlewu krwi. Jeden z młodszych strażników zatrzymał na ulicy Rokicińskiej kilku robotników i wezwał ich do rozejścia się do domów. Robotnicy odpowiedzieli mu hardo, nie szczędząc ostrych słów. Strażnik strzelił w odpowiedzi z rewolweru i ranił jednego z robotników, Wagnera. Rana była niebezpieczna i Wagner wkrótce zmarł. Wieczorem, gdy gubernator Miller siedział w restauracji Manteufla, padł z pobliskiego domu strzał.

UPADEK STRAJKU W ŁODZI

Od następnego tygodnia zaczął się jednak upadek strajku łódzkiego. Już w poniedziałek 9 maja wszystkie fabryki ruszyły. Ale przy warsztatach były jeszcze poważne luki, bo wielu robotników nie stawiło się do pracy. Nie było już wprawdzie dnia tego wypadków spędzania pracujących z fabryk, ale było widoczne, że wzburzenie władało jeszcze silnie umysłami i że spokój trzymał się tylko strachem. Miller żądał zatem przedłużenia pobytu owych dwóch sotni kozackich. Jednak we wtorek, 10 maja liczba pracujących znów wzrosła. Po mieście krążyły wszakże wciąż pogłoski, że spokój jest tylko chwilowy — jeżeli przy najbliższej wypłacie żądania robotników nie zostaną spełnione i za dni strajkowe nie dostaną zapłaty, strajk znowu wybuchnie. Tymczasem następnego dnia (środa 11 maja) praca szła już prawie normalnie. Korzystając z tego i z panowania względnego spokoju, władze przystąpiły do uzupełnienia aresztowań z poprzednich dni, które miały charakter raczej przypadkowy, aresztowaniami planowymi obejmującymi tych, którzy istotnie w ruchu strajkowym odegrali przodującą rolę. Fabrykanci, majstrowie, a nawet niektórzy robotnicy podawali władzom nazwiska, co posłużyło policji za materiał przy dalszych aresztowaniach.

Wydarzenia majowe w Łodzi odbiły się głośnym echem w całej Rosji. Robotnicy petersburscy zwrócili się do robotników Łodzi z listem otwartym, w którym pisali:

„Upamiętniliście bohatersko święto majowe. Wstąpiliście otwarcie w szeregi światowej armii socjaldemokratycznej, która u progu XX stulecia ujrzała już jutrzenkę nowego ustroju społecznego. Ustroju, gdzie wszyscy będą braćmi, gdzie nie będzie już nienawiści plemiennej, podsycanej świadomie przez carat, który zmierza w ten sposób do utrzymania w swych rękach siły zbrojnej, a wraz z nią i władzy nad narodami.

Gdy padnie carat, pokażemy wam, że nie ma nienawiści między narodem rosyjskim i polskim. Istniała ona tylko między panami, z którymi nic nas nie łączy i którzy prowadzili między sobą spory, o to, kto z nich ma nas wyzyskiwać i ciemiężyć".

Połączmy się więc, proletariusze wszystkich krajów, a wnet wybije ostatnia godzina naszych wrogów — zabłyśnie słońce socjalizmu".

Dwa lata po słynnym „buncie łódzkim" pisała Róża Luksemburg w organie SDKPiL „Sprawa Robotnicza":

„Bohaterami nazwaliśmy was, bracia z Łodzi. Tak, byliście nimi walcząc bohatersko za wspólną sprawę polskich robotników. Wasze krzywdy są wspólne całemu ludowi robotniczemu. Wasza walka szła za wszystkich, i wasze zwycięstwo byłoby wszystkich zwycięstwem...

Nie dziś jeszcze i nie jutro wystąpimy do boju ostatniego. Nie dość jeszcze silna i łączna drużyna nasza robotnicza. Ale niech pamięć łódzkich ofiar głęboko w wasze serca zapadnie, robotnicy polscy! Niech wam będzie gwiazdą przewodnią w życiu. Ona was będzie wzywała do łączenia się, do wzajemnego oświecenia, do solidarności. Nie ustawajcie w waszej walce codziennej z wyzyskiem i niedolą, wydzierajcie swym wyzyskiwaczom dzień za dniem choć okruszyny praw waszych. Lecz nie traćcie z oczu nigdy tego głównego na dziś celu. Nie zapominajcie, że ta walka wtedy tylko zdobyć wam coś potrafi, że o wasze prawa wtedy tylko należycie upomnieć się zdołacie — kiedy rząd carski padnie, kiedy się wam usta i ręce rozwiążą. Co rok 1 Maja będzie wam przypominał wasze hasło pierwsze: Cześć poległym w Łodzi — precz z caratem!"

EWA OSTROWSKA

SZKODA *ryżego* HEŃKA

25. IV. br. odbyła się w Łodzi konferencja, n.t. „Zagadnienia wychowawcze na tle problematyki młodzieżowej wielkiego miasta". W konferencji, zwołanej z inicjatywy miesięcznika „Harcerstwo" wzięli udział przedstawiciele wszystkich zainteresowanych sprawami wychowania instytucji. Artykuł drukowany poniżej stanowi pendant do wspomnianej konferencji, do której wrócimy w najbliższym czasie w oddzielnej publikacji.

Heniek jest ryżym blondynem. Ma niskie, cofnięte czoło. Ręce głęboko w kieszeniach, głowa wciśnięta między ramiona — chodzi o ten szyk, o ten fason, którego pilnie przestrzega każdy szanujący się członek paki Heńka. — „Ty, stary, wisz, jak jest... jego mać" — i strzyknięcie śliną: kto dalej. Jeszcze kołyszący się z nogi na nogę, szeroki krok, wspólny „sztach" potem, grzane beskidzkie z budki na rogu Starego Rynku i Pojezierskiej. Jeszcze but od szewca ze Zgierskiej, tyrolski kapelusz z galanterii ze Zgierskiej. Latem koszula w

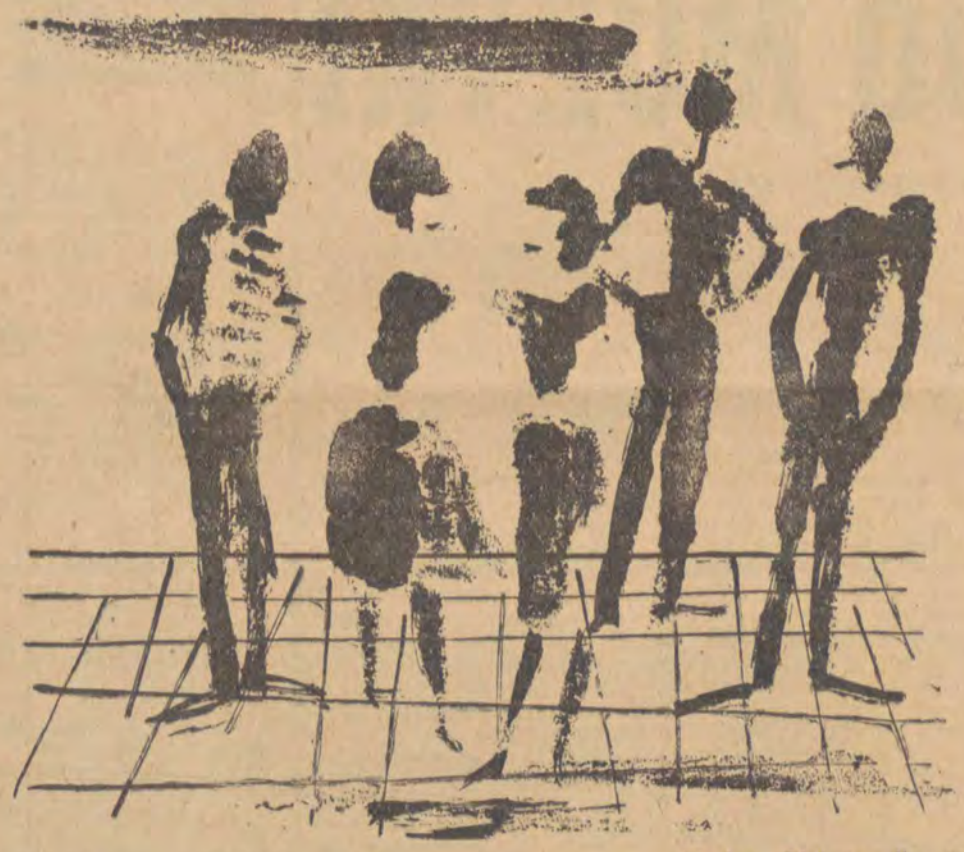

krate, rękawy podwinięte „na kulturystę". — Sam szyk, bracie, wiesz?

Tak też wygląda Heniek, ryży blondyn — wielka klasa, bije rekordy w strzykaniu śliną na odległość. Ta: również wyglądają inni prowodyrzy, ci starsi. Wszyscy mają po szesnaście, siedemnaście lat. Obok nich (ręce w kieszeniach, kołyszący się krok), młodsi terminatorzy — po czternaście, trzynaście i mniej lat. Już strzykają śliną, sztachają się „sporciakami", popijają piwo, odbijają butelki wina za piętnaście złotych w klatkach schodowych Starego Rynku.

Skąd pochodzi ryży Heniek?

Astąd! — ze Starego Rynku. Wychował się pod jego arkadami, wyedukował się na klatkach schodowych jego bloków. („Stary Rynek" i nowe bloki, Bałuty i nowa dzielnica: tak oto tworzą się paradoksy. Ale tak właśnie jest. Dzielnica staje się piękna i młoda. Najstarsze bloki liczą po osiem lat. Najstarsze drzewa na skwerze Staromiejskim — niewiele więcej). Ryży Heniek w pięknej i młodej dzielnicy nauczył się elementarnych zasad życiowych: nie podoba się, no to w mordę! Ale Heniek jest starszy od swojej dzielnicy. On zaczął od rynsztoków, gdy osiem lat temu ulice Pieprzowe, Drewnowskie i wszystkie inne ulice bałuckie o dziwnych, przedziwnych lub zupełnie prostych nazwach, wspólnie ze swoją główną arterią — Zgierską, spływały wolniutko rynsztokami wzdłuż chodników. A ponieważ Heniek jest starszy od dzielnicy, może dlatego nie należy go winić. Może to właśnie go usprawiedliwia. Na pewno należałoby poszukać przyczyn w przeszłych warunkach społeczno-ekonomicznych. Każdy się zgodzi, że taka interpretacja ryżego Heńka będzie i marksistowska i dialektyczna. Wiadomo — byt określa świadomość.

Ale co po takiej interpretacji, chociażby najsłuszniejszej, jeżeli Heniek jest obiektywnym faktem — żyje i zaczepia obywateli, spokojnych mieszkańców Starego Rynku i okolicy? Co po niej, jeżeli ryży Heniek rzeczywiście kształci godnych siebie następców, czternastoletnich chłopaczków, którzy zabawiają się w popychanie starych kobiet? — Interpretacja nie rozwiąże praktycznie problemu: ryży Heniek grasuje w okolicy Starego Rynku. Ryży Heniek nie jest samotnikiem, otaczają go Staszki, Zenki, Gienki, Felki. Odbijają butelki po bramach, zagryzają wędzonym dorszem, i idą w Polskę — na podbój! Nie spodoba się któremuś z nich nos przechodnia — to go lu! I nie spodoba się spojrzenie? Heńki i Zenki od rana do wieczora wystają pod arkadami Starego Rynku, bez względu na porę roku czy pogodę, od godziny siódmej rano można ich spotkać, złażą się powoli, ospale, nie śpiesząc się, bo i po co? — cały dzień do nich należy, mają dużo czasu. — Cześć, chłopaki! — Cześć chłopaki! — potem siadają na ławkach, pościąganych na staromiejski ryneczek z „parku śledzia". Obserwują przechodniów. Sztachają się sporciakami. Rzucają niewybredne uwagi. Zaczepiają dziewczęta. Gwiżdżą na gołębie. (Dzielnica Starego Rynku jest piękna i gołębie na placu są). Później grają w nogę. Któryś przynosi piłkę. Albo w braku niej — szmacianą kulę. I tak do wieczora, nudnawo, bezrobotnie. Za to, gdy się ściemni...

Tak powstaje reportaż. Jednak nie o reportaż ze Starego Rynku mi chodzi, ani o sangową opowieść o ryżym Heńku. Nie znam aktualnych warunków ryżego Heńka. Nie wiem, kim są, lub — kim byli jego rodzice. Nie wiem, czy i jaką szkołę ukończył. Po prostu ryżego Heńka widuję codziennie na placu Starego Rynku. Dlatego dla mnie ryży Heniek jest bezdomny, „bezprizorny". Natomiast mieszkańcy bloków mówią — chuligan. W taki sposób określają jego społeczną przynależność.

* * *

Dnia czternastego kwietnia, parę minut przed godziną osiemnastą, a więc jeszcze jasno, dzień — dwunastoletniemu W. K. jeden z paki Heńka zabrał przemocą piłkę, chłopca pobił, a jego matkę, która interweniowała, paka obrzuciła wyzwiskami. Z obserwującego zdarzenie, zebranego na poczekaniu tłumu ciekawych przechodniów, nie padło ani jedno słowo za matką chłopca, pragnącą dowiedzieć się nazwiska głównego sprawcy. Ten, na swoje nieszczęście, miał tarczę z numerem szkoły na rękawie: II Technikum Budowlane. I na swoje nieszczęście zbyt dobrze był znany okolicznym dzieciakom, które niejednokrotnie krzywdził, toteż jego nazwisko zostało odszyfrowane: nazywa się Andrzej W., mieszka na Bojowników Getta, jest wychowankiem 45 szkoły podstawowej przy ul. Z. Pacanowskiej, obecnie uczniem ósmej klasy Technikum Budowlanego.

Napisałam, że matka pobitego chłopca nie spotkała się z aktywną pomocą świadków. Otóż, przepraszam najmocniej panią w brązowym palcie i chustce w kratę, która to pani zareagowała następująco: „Co się pani tak rzucasz, trupa pani zrobili, czy co?".

* * *

„Co się pani tak rzucasz, trupa pani zrobili?...". Jeżeli głos kobiety w brązowym palcie, wyrażał opinię społeczną, to — niech żyją nam rude Heńki i ich ferajny, niech podstawiają nogi starym kobietom, niech rzucają przekleństwami na przechodzące dziewczęta, niech zapędzają na klatki schodowe, niech piją piwo beskidzkie, i „sikacze", i czystą z niebieską kartką.

Trupa jeszcze nie zrobili, ale kto zaręczy, że za rok, za dwa lata, a może nawet za miesiąc, czy za tydzień, któregoś pięknego, letniego wieczora jakiś ryży Heniek, lub inny w rodzaju Andrzeja W. nie wsadzi człowiekowi noża w brzuch?

Przez parę lat spokój panował w okolicy Starego Rynku. Milicja patrolowała „park śledzia", ulice. Działo się to w okresie wzmożonej walki, wytoczonej chuligaństwu. Na Drewnowskiej zabito kobietę, na Wojska Polskiego pocięto mężczyznę. Później zapanował ład, ulice oczyszczono, bez obaw można było przechodzić wieczorem nawet przez „park śledzia". Krzyki o pomoc w okolicy Starego Rynku stały się rzadkością. Batalia o czystość nowej dzielnicy Bałuty została wygrana. Co prawda, nie każdy z mieszkańców, odważał się nocą skracać sobie drogę do domu przez „park śledzia", lecz spało się spokojnie. Ofiary nie krzyczały — ratunku!.

A teraz zaczynają krzyczeć.

Pierwsze głosy są schrypnięte, pijackie, czkające. Przyśpiewują popularne szlagiery — „Alabama, Noemi biodra ma jak hamak". Słowa szlagierów przeplatają przekleństwami. Potem dopiero inny głos, cienki z przerażenia, wzywa pomocy.

W lutym, podczas śnieżnych zadymek, widziałam, jak dwóch co najwyżej trzynastoletnich wyrostków, przewróciło w śnieg uderzeniem w piersi starszą kobietę, przechodzącą ulicą Bojowników Getta. Niestety: nie znam nazwisk młodocianych przestępców. Nie zapamiętałam jak wyglądali, poza jednym szczegółem: jeden z nich ubrany był w czerwony pulower. Natomiast zanotowałam, że obydwaj weszli do szkoły nr 45, przy Zuli Pacanowskiej.

Parę tygodni temu czternastoletnia dziewczynka została napadnięta około godziny dwudziestej pod arkadami Starego Rynku. Dziewczynce zabrano buty.

W zestawieniu z poprzednio opisanym pobiciem w biały dzień dwunastoletniego W. K., w sumie daje to trzy wypadki, których nie odnotowały statystyki milicyjne. Po prostu ani matka W. K., ani przewrócona kobieta, ani napadnięta dziewczynka, nie meldowały milicji. Sądzę jednak, że Komenda dzielnicy Bałuty mia-

Dalszy ciąg na str. 8

Sedno rzeczy

MARIAN PIECHAL

Czyżby młodzież na miarę krawca?

Myślę ze smutkiem i troską o dzisiejszej młodzieży, to znaczy tej w wieku od 15 do 25 lat. Roczniki wojenne i tuż powojenne. Jest to często tragicznie nijaka, pusta i jałowa od wewnątrz, a bezbarwna i szara na zewnątrz, beznadziejnie czcza i przedziwnie nieatrakcyjna młodzież. Ta młodzież nie ma twarzy, to zaledwie jakaś bezkształtna masa czy magma wegetatywna, z której chyba można by przy ogromnym wysiłku dobrej woli coś ulepić, gdyby nie absolutna niemożność trywialnej miernoty i przeciętności jako jedynego jej wymiaru.

Rzecz zrozumiała, że nie mówię tutaj o młodzieży en bloc, wiedząc, że właśnie w najbardziej płonej i zanieczyszczonej rudzie znajdują się żyły bezcennego kruszcu, a pod piaskami pustyni pola diamentowe... Ale te rzadkie wyjątki w tym pokoleniu młodzieży, o którym mówię, tym bardziej potwierdzają ogólnie niepokojącą co do jej całości regułę.

Jeśli pominiemy własne obserwacje i opinie ludzi, którzy od lat w codziennej praktyce swoich zawodów mają do czynienia z młodzieżą, jak chociażby ostatnie wypowiedzi rektora Uniwersytetu Łódzkiego, prof. dr Szpunara i prof. dr Jana Szczepańskiego, to wystarczy przegląd naszych pism kulturalno-społecznych, z coraz częstszymi artykułami na ten temat, aby dojść do wniosku, że jest to obecnie jeden z najbardziej palących problemów polskich. Na Tysiąclecie Państwa Polskiego jaką sobie fundujemy młodzież, której powierzamy, chcąc nie chcąc, rozpoczęcie budowy następnego tysiąclecia?

Oto pytanie, zaiste, że tysiąckroć ważniejsze i poważniejsze od słynnego pytania hamletowskiego! Bo odpowiedź na nie rzeczywiście rozstrzygnie ten odwiecznie dręczący nas jako naród dylemat: „Być albo nie być?".

Ktoś może powiedzieć, że to skrajny pesymizm, że nie jest tak źle. Nie chciałbym usypiać sumienia społecznego zbyt łatwymi pocieszeniami. Mówić najbardziej nawet przykrą prawdę w nadziei, że samo jej uświadomienie jest już pewną skuteczną formą walki ze złem, należy według mego przekonania do elementarnie pojętego obowiązku pisarskiego. Zbliża się koniec roku szkolnego, a więc czas obrachunku dotychczasowych obserwacji i doświadczeń, analizy przemyśleń i wreszcie praktycznych wniosków.

Ostre kontrasty, jakie dzielą pokolenia młodzieży sprzed pierwszej wojny światowej, z okresu dwudziestolecia międzywojennego, i po ostatniej wojnie najlepiej odzwierciedla literatura piękna, ściślej mówiąc, powieść. Wystarczy zestawić „W pustyni i puszczy" Henryka Sienkiewicza z powieściami wspomnieniowo-młodzieżowymi Kornela Makuszyńskiego albo Kądena-Bandrowskiego, a te znów z twórczością beletrystyczną ostatnich lat takiego choćby Marka Nowakowskiego Andrzeja Brychta, Magdy Leji, czy też Krystyny Nepomuckiej, żeby dojść do niewątpliwego wniosku, że to już nie kontrasty dzielą te pokolenia, ale wprost przepaście. Wprawdzie takie książki jak przedwojenna „Ferdydurke" Witolda Gombrowicza czy powojenna „Rzeczywistość" Jerzego Putramenta, mącą nieco klarowność i ostrość tych kontrastów, ale jednak w niczym nie naruszają ogólnej słuszności tego pokoleniowego podziału.

Ostatnio na półkach księgarskich ukazały się trzy książki, które w klasyczny niejako sposób ilustrują te kontrasty młodzieżowe między trzema pokoleniami: sprzed pierwszej wojny, między wojnami i po drugiej wojnie. Są to trzy powieści trzech różnych narodowości, ale doskonale oddające uniwersalne cechy pewnego wieku ludzkiego życia, którego wspólnota wypływa z upowszechnienia stereotypów kulturalno-obyczajowych charakterystycznych dla współczesnego życia zbiorowego w ogóle.

Jest to słynny pamiętnik o własnej młodości francuskiego pisarza Andrzeja Gide'a pt. *Jeżeli nie umiera ziarno* po raz pierwszy wydana w języku polskim w pięknym przekładzie Juliana Rogozińskiego, następnie głośna powieść amerykańskiego pisarza współczesnego J. D. Salingera pt. *Buszujący w zbożu* w przekładzie Marii Skibniewskiej i polska powieść, druga z kolei, Krystyny Nepomuckiej, pt. *Rozwód niedoskonały*.

Swoistym arcydziełem w tej triadzie powieściowej jest niewątpliwie sensacyjna jak na naszą jeszcze i dziś pruderyjną atmosferę obyczajową powieść Gide'a. Powieść Salingera jest dość przeciętna i słaba, o wiele poniżej utworów o tematyce młodzieżowej naszego Makuszyńskiego i Kadena, tyle tylko, że mówiąca o aktualnym dla nas problemie młodzieży powojennej. Wreszcie zupełnie kapitalna pod każdym względem jest powieść polskiej pisarki, Krystyny Nepomuckiej. Ukazuje niejako korzenie i rodowód cech społeczno-psychiczno-obyczajowych dzisiejszej młodzieży.

Warto, a nawet trzeba, przeczytać i wczytać się w te trzy książki, ażeby w całej ostrości uświadomić sobie trudny i skomplikowany problem powojennej młodzieży w ogóle, a polskiej w szczególności. Miar Fidiasza do niej przykładać nie można, ale to nie znaczy, że nie należy stosować do niej żadnych innych miar. Tym bardziej trzeba i to te najistotniej humanistyczne, oparte na najbogatszym doświadczeniu i najszerszym zasobie nowoczesnej wiedzy o świecie i o człowieku, czyli o nas samych.

Wtedy może niezwykle trudny problem naszej młodzieży uda się ruszyć z martwego punktu czyli lewą stronę pesymizmu odwrócić na prawą stronę nadziei. Albowiem minus nobis videmur posse, quam possumus.

SZKODA ryżego HEŃKA

Dokończenie ze str. 7

łaby aż zbyt wiele komentarzy uzupełniających.

Ktoś, komu nie wystarczają luźne obserwacje, powie: tylko trzy wypadki i od razu krzyk w prasie? Ale w takim razie proszę wszystkich zwolenników statystycznych wykresów na Stary Rynek. Proszę, obejrzyjcie sobie pozabijane dyktą drzwi klatek schodowych (wybijano szyby tak często, że bzdurą byłoby dawanie nowej okazji ryżym Heńkom), zobaczcie zdewastowane klatki schodowe, pozamieniane w publiczne ubikacje, posłuchajcie jędrnej mowy wyrostków, przypatrzcie się twarzom ich młodocianych towarzyszek, przeprowadźcie wywiady z dozorcą któregoś z bloków — a zapozna was z liczbą flaszek uprzątniętych w ciągu jednego tylko tygodnia. Zastanówcie się: czy trzeba czekać na trupa?

Publicystę obłożono ciężkim obowiązkiem. Musi nie tylko przekonywająco zreferować przebieg zdarzenia, wykazać działający w nim mechanizm, ale ponadto, musi nieszczęśliwiec, znaleźć praktyczny wniosek zaradczy.

Więc powiadam: plac Starego Rynku z gruchającymi gołębiami i fasadami okolicznych bloków jest zbyt ładny, zbyt liryczny, aby miał go zniszczyć ryży Heniek. Więc powiadam: niech nareszcie „park śledzia" stanie się staromiejskim skwerem, którym bez obawy będzie można skracać drogę do domu. A przede wszystkim wołam: nie wolno czekać na trupa! I jednocześnie myślę, że szkoda byłoby rudego Heńka, on nie powinien spędzić resztę swojej młodości w kryminale. Dlatego mówię dalej: jak najszybciej należy zająć się ryżym Heńkiem spod arkad. I zastanawiam się: jak? Ktoś może mi podpowie: milicja. (mieszkańcy bloków pod arkadami często wzywają milicję). Ktoś może uzupełni: z pałką. Z pałką na łobuzów! Ale ja wtedy odpowiem: może i czasem pałka się przyda, ale nie zawsze. I tu, dla uzasadnienia powołam się na dialektykę: ryży Heniek dobrze pamięta rynsztoki. I jeszcze dodam: jest on „bezprizorny". A stąd wynika, że pałka nie musi mu pomóc. W takim razie: co? Trochę mi przykro, ale nie wiem. Może inni potrafią odpowiedzieć na pytanie.

Milicja przyda się okolicy Starego Rynku. Chociażby dla zlikwidowania ławek spod arkad. Chociażby dla dopatrzenia, aby plac Starego Rynku nie służył jako boisko do gry w nogę, ani jako tor wyścigowy dla domorosłych kolarzy, ani wreszcie jako ogródek jordanowski dla młodszych dzieciaków. Dla tych celów może się przydać pobliski skwer staromiejski. Dzielnicowa Rada Narodowa mogłaby się zająć z kolei wyposażeniem skweru w trochę żółtego piasku i kilka huśtawek. Również mogłaby zająć się przeniesieniem w inne miejsce budki z piwem grzanym na rogu Starego Rynku i Pojezierskiej. Budka szpeci i wulgaryzuje urok kamiennego ryneczku, a miejscowy ryży Heniek zbyt często z niej korzysta.

Szkoda pięknej dzielnicy i szkoda ryżego Heńka, który ma lat siedemnaście.

EWA OSTROWSKA

Fot. E. Haneman

Z cyklu: NOWA ŁÓDŹ

Fot. W. Biliński

FELIKS WIESENBERG

OD OPERY DO MUZYKI

(artykuł dyskusyjny)

Artykuł M. Piechala w „Odgłosach" o operze wzbudził szeroki odzew (prasa miejscowa, Kisielewski, Waldorff i in.). Dyskutanci przeważnie powoływali się na wartość opery jako dzieła sztuki i jej rolę w rozwoju kultury muzycznej. Choć opera w czasach na przykład Monteverdiego czy jeszcze Glücka spełniła dodatnią funkcję, to obecnie warunki są inne i trudno uwierzyć, że opera i popularna muzyka wokalna reprezentowana przez modne piosenkarstwo przyczyni się do zrozumienia muzyki właściwej, tak jak trudno jest uwierzyć w wartość artystyczną modnego jazzu. Słuchacz przywykły do łączenia muzyki z tekstem, i to tekstem dostosowanym do swego poziomu kulturalnego, nie potrafi zrozumieć muzyki czystej.

Muzyka jest sztuką trudną, bo abstrakcyjną. Nie bierze gotowych składników z przyrody i otaczającego nas świata. Nawet najbliższy muzyce śpiew słowika nie jest muzyką, gdyż ptaki nie szeregują swych „trelów" w świadome melodie i nieznane im są współbrzmienia harmoniczne. Melodia i harmonia są dziełem wyłącznie człowieka, jego inwencji twórczej.

Muzyka z większym trudem niż inne sztuki przenika do świadomości człowieka. Sprawdza się tu twierdzenie, że człowiek percypuje tylko to, co zna. Stąd ta irytacja nie rozbudzonych pod względem muzycznym abonentów radiowych wyrażana w listach do dyrekcji programów: „kiedy słyszę muzykę Chopina, wyłączam radio". Taki wrogi stosunek do muzyki słyszy się niekiedy z ust reprezentantów elity kulturalnej, nawet elity artystycznej, co jest oznaką szczególnego, antymuzycznego klimatu, który u nas się utrwalił.

Lud polski stworzył niegdyś jedną z najoryginalniejszych i najwspanialszych pieśni. Co jest więc przyczyną że pieśń ta została zapomniana i że jedyną piosenką znaną w Polsce jest pijackie „Sto lat"? (patrz Nowa Kultura z 17 III br.).

Możliwe, że przyczyną upadku kultury muzycznej jest pleniąca się epidemia muzyki tanecznej i to najmniej wybrednej, dostosowanej do maniakalnych i brutalnych tańców. Właściwa naturze ludzkiej potrzeba ruchu powtarzalnego wynika z pierwotnej skłonności człowieka do rytmizacji obserwowanej już u niemowląt i ludów stojących na najniższym stopniu kultury. Taniec oszałamiający znany jest od zamierzchłych czasów. Nie wymagał on muzyki ,wystarczyło rytmiczne klaskanie lub uderzanie w jakikolwiek wydający hałasy przedmiot. Dla tego potrzeb bęben awansował do rangi instrumentu muzycznego. Średniowieczne epidemie „tańca świętego Wita" również obywały się bez muzyki. Czy obecna przewaga rytmu w muzyce jazzowej nie wywodzi się z tej pierwotnej potrzeby i nieuświadomionych bodźców seksualnych? Na to wskazywałyby fakty. Podczas mody kankana paryskie minetki przed wyjściem na salę tańca zdejmowały dolną bieliznę (w kankanie podrzuca się nogi wysoko), a na festiwalu jazzu w Sopocie rozhisteryzowane słuchaczki wieńczyły zwycięskie zespoły zdjętymi doraźnie majtkami. Zestawmy taką „kulturę" z pięknem tanecznej muzyki ludowej i wykwintem europejskiej tanecznej muzyki dworskiej, a uprzytomnimy sobie nędzę kultury muzycznej naszego obecnego społeczeństwa. Im większy stwierdzamy jej upadek, tym gwałtowniejsza obowiązuje nas walka o jej podniesienie. Akcja musi być totalna, skoordynowana, prowadzona przez władze i wszystkie instytucje kulturalne. Troski o nią nie składajmy na barki szkoły ogólnokształcącej, bo w Polsce na kilkadziesiąt tysięcy nauczycieli śpiewu, do których należy zadanie umuzykalniania młodzieży, zaledwie 6000 ma przygotowanie zawodowe, i to przeważnie niedostateczne, a kulturę muzyczną daleko niedorównującą ideałowi, jaki powinniśmy im stawiać. Do akcji umuzykalnienia włączyć się winny przede wszystkim państwowe orkiestry symfoniczne (Filharmonie), które dotychczas są instytucjami usługowymi dla nielicznej garstki miłośników muzyki i większej od tych ostatnich grupy snobów. Nie próbowały oddziaływać na ludność w zasięgu swego działania, a jeśli próbowały, to nieudolnie i bez planu dydaktycznego. Wyjątkiem jest, zdaje się, Filharmonia Śląska, która od 15 lat uparcie prowadzi na swoim terenie audycje dla młodzieży szkolnej. W ubiegłym sezonie jej audycje zgromadziły prawie 17 000 słuchaczów. Niezależnie od tego dział „Estrady" zgromadził do 200 000 słuchaczów na prawie pięciuset audycjach z udziałem solistów. Jaki był ich plan dydaktyczny i jaki poziom, trudno jest nam w Łodzi ocenić.

Akcję upowszechnieniową prowadzą również towarzystwa muzyczne, z których na czoło wysunęło się warszawskie, urządzając w bieżącym sezonie 150 audycji dla 39 000 dzieci. Do tej pracy włączyło się od paru lat istniejące Łódzkie Towarzystwo Muzyczne, choć z przykrością należy zaznaczyć, że upowszechnia i muzykę rozrywkową.

Akcja ta nie obejmuje jednak wszystkich ośrodków miejskich w kraju i nie jest w skali krajowej koordynowana. Najpilniejszą sprawą jest opracowanie planu dydaktycznego upowszechnienia muzyki, to jest ustalenie wykazu utworów i ich kolejności w audycjach. Utworów wartościowych, krótkich a zrozumiałych dla nie obytego z muzyką słuchacza. Przypuszczalnie do tego celu nadawałyby się osiemnastowieczne tańce stylizowane przez swą melodyjność, symetrię formalną i nieskomplikowaną harmonikę.

W tym wstępnym okresie objaśnienia słowne winny ograniczyć się do nazwy i charakterystyki użytych w audycji instrumentów oraz zwrócenia uwagi słuchaczów na budowę i cechy melodii, na rytm jako czynnik symetrii i ruchu oraz na harmonię jako początkowo niezauważalny element muzycznego wyrazu.

Z ubolewaniem należy zaznaczyć że dotychczas Ministerstwo Kultury i jego agendy terenowe nie opracowały planu upowszechnienia sztuki. I tu przed Wydziałem Kultury naszego miasta stoi wdzięczne zadanie zainicjowania choćby koordynacji działalności instytucji i stowarzyszeń kulturalnych i powołania do współpracy nad planem dydaktycznym specjalistów rozumiejących potrzebę i powagę zagadnienia. Poza pracą konstruktywną Wydział Kultury może jako władza administracyjna usunąć z pola widzenia mieszkańców wszystko to, co można by określić jako dywersję kulturalną, a więc wpłynąć na skreślenie z programów Rozgłośni Łódzkiej szmirowatej muzyki rozrywkowej nadawanej nawet jako „przerywniki" między komunikatami i pogadankami, skorygować skandaliczny poziom muzyki nadawanej podczas antraktów w kinach, dostosować do potrzeb umuzykalnienia działalność „Estrady", a przede wszystkim zwalczać partyzancką akcję nieodpowiedzialnych chałtur. W uszy mieszkańców miast, a co gorsza i wsi, od rana do nocy natrętnie wdziera się najgorszego gatunku szmira muzyczna i jeżeli nie rozpoczniemy z nią zdecydowanej walki, nawet z pomocą środków administracyjnych, na nic zdadzą się marzenia idealistów i wysiłki instytucji, dla których kultura narodu nie jest zdawkowym sloganem.

informacje zaczepki

Dr Jan Świerzewicz wykładowca języka polskiego w Technikum Ekonomicznym w Sieradzu obchodzi w tych dniach piękny jubileusz — pół wieku pracy pedagogicznej.

*

Ostatnio prasa centralna przyniosła kilka publikacji łódzkich autorów. I tak w „Twórczości" drukują Stanisław Czernik i Jan Koprowski, a „Dialog" przynosi polemikę Stanisława Kaszyńskiego z innym tłumaczem z jugosłowiańskiego — Stoberskim.

*

Biała Rawska jest jedynym miastem w naszym województwie (a jednym z nielicznych w Polsce) nie posiadającym stałego kina. Już za kilka tygodni ta swoista „biała plama" zostanie zlikwidowana — Biała Rawska otrzyma w maju bieżącego roku stałe kino.

*

Poczta Główna się „afrykanizuje". Niedawno zainstalowano tam 3-metrowej wysokości palmę, a mówi się o dalszym imporcie tego „towaru". Jak bowiem u nas często bywa „metodą palmy" załatwia się niewygody, ciasnotę, brud i opryskliwość urzędników.

*

„Przed Grand-Hotelem autobus MPK przejechał kobietę" — donosi w lakonicznej notatce jedna z gazet łódzkich. Uważamy, że bez względu na okoliczności wypadku kierowca autobusu winien raz na zawsze pożegnać się ze swym zawodem. Dlaczego? Przed „Grand-Hotelem" jest „zebra" dla pieszych. Może ostre sankcje nauczą wreszcie kierowców respektować przepisy?

*

Do przekrojowej rubryki „Wszystko o Kowalskich" dodajemy informację: W Łodzi mieszka 5.570 osób o tym popularnym nazwisku.

*

W jednej z łódzkich gazet przeczytaliśmy notkę o pięcioleciu pracy Oddziału Łódzkiego TKWP. Wyjaśnienia skrótu nie podano. Na kilka zapytanych przez nas osób nikt nie wiedział o jaką organizację (instytucję, towarzystwo) chodzi. A szkoda, bo warto wiedzieć, kto zacz i na jakim polu przez pięć lat „owocnie" pracuje.

T. W.

A RAINY DAY

It was raining, but when I went to get an umbrella, I found that out of the five umbrellas I have at home there was not one I could use. I decided to take all the five umbrellas to an umbrella-maker.

So I took them, left them at the umbrella-maker's, saying that I would call for the umbrellas on my way home in the evening.

When I went to dine in the afternoon, it was still raining very hard. I went to a restaurant, sat down at a table. Five minutes later a young woman came in and sat down at the same table with me.

I was the first to finish and when I got up, I absent-mindedly took her umbrella and started for the door. She called out to me:

— You have taken my umbrella!

I returned it to her with many apologies.

In the evening I called for my umbrellas, bought a newspaper and got to a tram. The young woman was in the tram too. She looked at me and said:

— You have had a successful day today, haven't you?

DIE KARTOFFELN

Die Deutschen essen viel und gern Kartoffeln. Vor zweihundert Jahren waren aber die Kartoffeln in Deutschland noch unbekannt. Damals bekam ein reicher Kaufmann etwas Kartoffeln von seinem Freund als Geschenk. Der Kaufmann gab die Kartoffeln seinem Gärtner. Der Gärtner pflanzte sie im Garten.

Im Herbst lud der Kaufmann seine Freunde zum Mittagessen ein. Er rief den Koch und sagte:

— Die Kartoffeln sollst du auch kochen.

Die Gäste kannten die Kartoffeln noch nicht. Aber der Koch kannte dieses Gemüse auch nicht. Deshalb kochte er die Blätter und die kleinen, grünen Früchte der Pflanze. Dieses Essen brachte er mit Zucker auf den Tisch. Die Gäste kosteten dieses Essen, aber es schmeckte ihnen nicht, und sie wollten es nicht essen.

Der Koch nahm das Essen wieder in die Küche zurück. Die Diener assen die Kartoffeln in der Küche auf. Aber nach einigen Stunden wurden sie krank. Der Arzt kam und sagte:

— Die Früchte der Kartoffeln sind giftig.

Aber die Diener wurden nach einigen Tagen wieder gesund.

Der Gärtner riss die Kartoffelpflanzen aus der Erde und warf sie in einen Winkel des Gartens. Später rief der Gärtner seinen Sohn und sagte:

— Du sollst diese Kartoffelpflanzen verbrennen.

Das tat der Junge gern und bald war alles verbrannt.

Put your dog's or puppy's food in a clean dish. It must have clean water too...

— Thank you very much. Good bye, George.

— Wait a minute! Here is your dog, John.

— Many people have dogs in their houses, but I do not want to have a dog now. Thank you very much for your lesson, George. Good bye!

Nach dem Essen wuschen wir die Teller ab.

— Was machen wir jetzt? — fragte Heinz.

Hanna und Ilse waren müde. Sie legten sich ins Gras und lasen. Heinz und ich gingen im See baden.

Später am Abend wanderten wir alle zusammen um den See. Ursel hatte eine schöne Stimme und sie sang uns Lieder. Dann sangen wir alle zusammen.

Die Sonne wurde bald rot und es war Zeit nach Hause zu gehen. Es war ein sehr schöner Sonntag.

MAGDALENA

Siedemnastoletnia dziewczyna, Magda, dostaje się w krąg wpływów grupki „złotej młodzieży". Za namową Boruty Magda opuszcza rodziców. Po wielu próbach Magda składa przysięgę na wierność grupie. Tymczasem w wypadku samochodowym ginie „opiekun" Marioli i Magdy Tato.

* * *

Doszłyśmy do Piotrkowskiej. Na ulicy był zwykły ruch. Jechały taksy, samochody, ludzie spieszyli za swoimi interesami. Zastanawiałam się nieraz, dlu spośród tych ludzi jest takich jak my. Przecież jest przedpołudnie, fabryki i urzędy pracują, a na ulicy kręci się mrowie starych i młodych. Jakby kto z tula powypuszczał. Czasami korek jest taki, że nie można się przecisnąć. Co ci wszyscy ludzie porabiają w jasny dzień na ulicy? Za czym chodzą? Co ich goni? Niech się pan nie dziwi, pan myśli, że takie dziewczyny jak ja nie zastanawiają się nad życiem? Nie myśli pan tak? Z pana jest fajny facet. No to powiem dalej. Więc szłyśmy w kierunku Grandki. „Wstąpimy na kawę?" — zapytałam. „Nie! — odparła Mariola — choleny świat. Tak się dobrze czułam rano. Co tego Tatę skłoniło, że wyszedł? Nie mogę pojąć." „Żałujesz go? Przywiązałaś się do niego?" Spojrzała na mnie dziwnie. „Czy żałuję? No chyba. Tato był fajny". „Ale okradłyśmy go" — przypomniałam. „To jest co innego. Jak się da, to i ciebie okradnę" — odparła Mariola. Oczywiście, nie uwierzyłam jej. Zamilkła, więc i ja się też nie odzywałam. Wreszcie doszłyśmy do Andrzeja. „No i co dalej?" — zapytałam. „Może pójdziemy do kina?" — zaproponowała. — Zapomnijmy o wszystkim". „Dobrze!" — odparłam.

W „Wiśle" grali film amerykański „Ożeniłem się z czarownicą". „To coś dla nas" — zawołałam. Lubię chodzić do kina. Czasami jest taki film, że człowiek nie może potem usnąć. Mariola wyrzucała mi, że za bardzo przejmuję się tymi historiami. Uważała, że to co się dzieje na ekranie, jest nieprawdą. Można się najwyżej rozerwać, pośmiać, ale nic więcej. Żeby jaka głębsza myśl — nic z tego. Ja natomiast przepadałam za filmami, zwłaszcza miłosnymi. Na przykład ostatnio Mariola opowiadała mi o filmie, w którym jeden fajny gość, marzy o swojej przyszłej żonie. W marzeniach tych spotyka się z różnymi kobietami: wariatką, co myśli tylko o niebieskich migdałach, z drugą idiotką, która by wiecznie się tylko kochała i z trzecią, najgorszą, domową kucharką. Wszystkie te role gra podobno jedna aktorka. Nazywa się Bibi Anderson. Fajne imię. Bibi. Powiedziałam Marioli, żeby na mnie mówiła Bibi, ale ta mnie tylko wyśmiała, idiotka. Ten film grają za granicą. Chciałabym go obejrzeć. Więcej jeszcze mnie wzięła historia, w której jest jeden sędzia, i ten sędzia trafia na ślad pewnej bandy, ale ci nakrywają go z jedną młodziutką studentką i szantażują. Tę historię słyszałam także od Marioli, nie wiem, skąd ona zna te rzeczy, i przypomniałam ją sobie teraz, kiedy zgasło światło i zaczęli wyświetlać kronikę. Mariola powiada, że na filmach przedstawiają tylko bajki. Ale przecież w życiu często się tak dzieje jak na ekranie. Weźmy chociażby Tatę i Mariolę. Gdyby kto nakręcił film o Tacie i Marioli. Jezus, co za historia! Stary Tato zakochuje się w siedemnastoletniej Marioli. Żyją szczęśliwie, gdy wtem pojawiam się ja. Tato zaczyna się mną interesować, a Mariola z rozpaczy połyka truciznę. Nie, to by było głupie. Prawdziwa kretynka ze mnie. Nieraz wymyślam różne historyjki i potem płaczę.

Film nam się podobał. Zwyciężyła prawdziwa miłość, a czarownica Jennifer sama wpadła w zastawione sidła, wypiła napój miłosny przeznaczony dla swojego wroga i zakochała się w nim. Heca nie z tej ziemi. W dodatku nabiła w butelkę swojego ojca, czarownika, który chciał przeszkodzić tej miłości. Zabawa na całego. Uśmiałyśmy się z Mariolą do łez. Fajny film, aktorzy ładni, to najważniejsze. Odprężyłyśmy się po tym filmie. Poszłyśmy potem do „Tivoli" na obiad. Czułyśmy się dobrze, ale Mariola wciąż myślała o Tacie. „Wiesz, Magda, ten Tato był jednak porządnym człowiekiem." „Z pewnością" — powiedziałam. „Nie wiem tylko, co może chcieć ode mnie milicja. Cały czas o tym myślę. Iść tam czy nie?" Nie przyznawałam się, ale i mnie to samo gnębiło. Byłam przerażona, kiedy Szczur wspomniał o rewirowym. Gniotło mnie to, jakbym się czym przejadła. „Lepiej idź! Nic złego na tobie nie ciąży." „Pójdę — zadecydowała. — Pójdziemy razem. Ty zaczekasz na mnie na ulicy." „Dobrze — odparłam. — Nie chciałabym się tylko dzisiaj spotkać z chłopakami." „Ani ja — odparła Mariola. — Zamkniemy się potem w domu i nikomu nie otworzymy."

Posiedziałyśmy jeszcze trochę, ale niedługo, bo jacyś kretyni, którzy zajęli sąsiedni stolik, próbowali nawiązać z nami łączność. „Patrz, ta wyższa ma świetne oczy"! — mówił jeden, taki ryży, do czarnego, ulizanego grubasa. „Ta druga jest również interesująca" — odparował gruby. Podzielili już nas między siebie. Ja przypadłam ryżemu, a Mariola grubemu. „Fascynujące oczy — zachwycał się ryży. — W sam raz do filmu." „Możebyś polecił Waldkowi" — podpowiedział gruby. Głos miał słodki i gruchający. Skąd mi ta nazwa — gruchający — przyszła? Taki wiersz pamiętam ze szkoły: „A głos mu się w gardziołku perlił i krysztalił". Nie znam poety, zapomniałam, ale tak było. Otóż ten gruby mówił tak słodko, jakby mu się co w gardle „krysztaliło". Okropny typ. „No, gdyby... — ryży spojrzał pytająco w naszą stronę. „Idioci" — mruknęła do mnie Mariola. „Skąd panie są?" — zapytał nas ryży. „Z Honolulu — odparłam. — Bawimy przejazdem w Łodzi. Zbieramy kandydatów do filmu pod tytułem „Miałam męża kretyna". Gruby zarechotał śmiechem na całą salę. Był uradowany. Chciał nas tym śmiechem podebrać, to jasne. Stary chwyt. Ale Mariola wstała i wyszłyśmy. Przechodząc, obrzuciłam ryżego „niewidzącym" spojrzeniem. Trafiłam dobrze. Minę miał jak ostatni kretyn.

Poszłyśmy potem na Zieloną. Komisariat mieści się na rogu Gdańskiej i Zielonej. Co to jest, proszę pana, kamienica taka sama jak inne, a bałam się jak diabli. Wystarczy, że nad bramą zobaczę czerwony szyldzik i już mam pietra. Bałam się przechodzić tamtędy. Głupie uczucie, fakt, ale nic na to nie poradzę. Podobne zresztą ogarnia mnie, gdy spotkam milicjanta. Po prostu boję się. Nie umiem rozmawiać z milicją. Nie chcę z nimi gadać nawet o pogodzie. Podziwiałam Mariolę, która w takich okazjach zachowywała zimną krew. Czy byłam podniecona? Bałam się? Mówię przecież. Nie może pan sobie wyobrazić, jak się denerwowałam, kiedy Mariola weszła do środka. Co kilkanaście sekund spoglądałam na zegarek. Przejechały już ze cztery „trzynastki", a Mariola wciąż tam siedziała. Zaczęłam już zwracać uwagę na siebie. Jakiś chudy chłopak o pryszczatej gębie stanął o kilka kroków ode mnie i uparcie spoglądał w moje oczy. Najwyraźniej uwziął się na mnie. Chodził za mną krok w krok. Gdzie ja, to i on. Mężczyźni są bardzo natrętni. Nie wszyscy, ale większość z nich to świnie. „Nigdzie nie można się od nich odczepić. Ani w knajpie, ani w kawiarni, ani na ulicy. Nawet w kinie można często trafić na takiego typka, który próbuje rozrabiać. Dopóki światło na sali, to gość siedzi spokojnie, grzecznie, stateczny obywatel, cholera go wie kto, dyrektor czy lekarz, broń Boże, powiedzieć co złego. Niech tylko zaczną kronikę, a tu już czuje pan nogę przy nodze, gościowi nagle za ciasno, przyciska się, wzdycha. No, i rób, co chcesz.

Dalszy ciąg na str. 10

A NEW GAME

Mary wanted to go with me in the park yesterday, but it rained. We did not want to read, and we did not want to go to the cinema.

So we asked our friends to come and see us.

We played at the big table in the dining-room. We played a new game. We played it with pencils and pieces of paper.

This is the new game. You can play it too.

You must make a lot of little words out of one long word. Take the word PENCIL. There are six letters in this word: P, E, N, C, I, L. You can make a lot of short words out of this letters.

You can make the words IN, NICE, PEN, ICE.

— How many short words can you make out of the word CINEMA? — Mary asked. — Take pieces of paper and write your words on them.

We tried to make a lot od words out of CINEMA.

We liked the new game very much and played it all evening.

A DOG AND I

Many people have dogs in their houses or in their yards. Dogs are clever animals. They can do many things. They can help people in their work. So I wanted to buy a dog. I went to my friend and asked:

— Have you a dog?

— What do you know about dogs? — answered my friend. — Dogs must not be fat. Fat dogs are lazy. They lie on the floor all day and sleep.

An old dog must eat twice a day, and it must have meat only once a day. Give a dog bones, but do not give it the bones of fish or the bones of birds. These bones are bad for dogs.

I sat down on a chair, and my friend continued:

— Give your dog food once in the morning and once in the evening.

You must give a puppy food many times a day. Give it food four or five times. But do not give it very much food at one time. If your puppy does not eat all the food in its dish, take the dish away. Dogs must eat only when you give them food.

Do not give meat to puppies. Meat is bad for them. Give them milk and bread. Milk and bread are good for them.

In the morning your dog must go out. It must run and jump. After that give it some food.

Your dog's bed must be clean, and your dog must be clean. Wash it once every two weeks.

Aber die Kartoffeln rochen sehr schön und der Junge ass einige. Sie schmeckten sehr gut.

Der Gärtner sagte dem Kaufmann alles und dieser bat seinen Freund, ihm noch einmal Kartoffeln zu schicken.

Der Kaufmann und seine Familie assen sehr gern Kartoffeln jeden Sonntag.

Bald aber wurde die Kartoffel auch eine Speise für alle Menschen.

EIN AUSFLUG

Die Tage wurden wärmer. Wir begannen an einen Ausflug zu denken.

Eines Tages standen wir pünktlich um sechs Uhr auf. Um sieben Uhr waren wir marschbereit. Unser Ziel war ein schöner See mitten im Wald. Der Weg zum Waldsee führte durch einen schönen und alten Wald. Die Sonne strahlte vom wolkenlosen Himmel. Im Schatten der Bäume war es kühl und angenehm.

Wir sprachen kein Wort. Die Stille des Waldes erlaubte uns nicht zu sprechen.

Gegen Mittag kamen wir an unser Ziel. Glänzend wie ein Spiegel lag der See vor uns.

Hanna lief zum Wasser hinunter. Ursel folgte ihr. Heinz suchte einen schönen Lagerplatz auf der Wiese und ich sammelte Holz für das Lagerfeuer. Hanna und Ursel kamen zurück und schälten Kartoffeln für das Mittagessen. Sie wollten Rindfleisch mit Kartoffeln kochen. Für den Nachtisch hatten sie Pflaumen. Später wollten sie auch Kaffee kochen und Kuchen essen.

Das Mittagessen war bald fertig. Wir setzten uns im Kreis hin. Der grosse Kochtopf stand in der Mitte. Hanna teilte das Essen aus.

— Das schmeckt aber sehr gut, — sagte Heinz.

Dalszy ciąg ze str. 9

Okropne typy, Owszem, nie powiem. Lubię w kinie przytulić się do kogoś, nieraz się nawet całowałam. Zwłaszcza jeśli film podchodzi do serca. Ale nie z pierwszym lepszym. To nie dla mnie. Ja potrzebuję prawdziwej miłości. I z jednym wybranym, a nie z wieloma naraz jak Krycha. Przypuszczam, że Mariola jest podobna do mnie. Bo Krycha jest na pewno ulepiona inaczej. Jeśli się nie opamięta, to wyląduje na rogu.

Zapomniałam w końcu o pryszczatym. Spoglądałam w okna komisariatu. Dlaczego Mariola tak długo tam przebywa? Co jej może grozić? Czyżby się wydała kradzież u Taty? Ale to niemożliwe. Z pewnością nie to. Zakopane? Cóż z tego? Czy nie wolno nam było jechać do Zakopanego? Wczorajsza wyprawa? No, o tym nikt nie wie. Zapewne w tej wsi zrobił alarm jak cholera, telefony na wszystkie strony świata, może i Łódź zawiadomili o naszym napadzie na kiosk, ale kto by nas podejrzewał? Robota czysta i mieliśmy szczęście. Zresztą Mariola nie była z nami. A może sprawa Pumy? Mariola wyznała, że Tatę poznała u Pumy. I Puma jest aresztowana. Jednakże Mariola od dwóch tygodni zerwała z Pumą. Chodziła do Taty, nie do Pumy. I Tato wezwał przed śmiercią rewirowego. To ten sam milicjant, który nas zastał u Taty. Zaczęłam się poważnie niepokoić. Bardzo się czułam nieszczęśliwa. O mały włos, a byłabym gadała do siebie. Taka byłam rozstrzęsiona. Może nawet coś powiedziałam do siebie, bo jedna pani spojrzała na mnie jak na głupią.

Mariola nareszcie wyszła, a ja musiałam się oprzeć o ścianę. Nogi pode mną dygotały. „Dlaczego jesteś taka blada?" — ofuknęła mnie Mariola. „Myślałam, że już stamtąd nie wyjdziesz". „Jeszcze moja godzina nie wybiła, — odparła. — „Słuchaj, Mariola, co oni chcieli od ciebie?". „Dlaczego tak długo cię trzymali? O co pytali?". „Nie teraz. Jedziemy do domu. W domu wszystko opowiem." Była zła czy też podenerwowana. Nie dziwiłam się temu. Takie przejście.

Taka byłam podniecona, że do taksy chciałam wejść od szoferki. Mariola mnie pociągnęła do tyłu. Całą drogę ściskałam ją za ręce. „Przede wszystkim — powiedziała Mariola po przyjeździe — nikogo do siebie nie wpuszczamy." Zasłoniłyśmy okna, zamknęłyśmy się na klucz. Mariola przygotowała kolację. Ale nie mogłam jeść. „No, mów, bo umieram z ciekawości!" — rzekłam. I wyłożyła na stół kilkanaście setek. „Co to jest?" — zapytałam. „Pieniądze. Od Taty. Tato dał przed śmiercią rewirowemu, żeby nam przekazać." „I po to cię wzywali? — zapytałam uradowana i jednocześnie wstrząśnięta. Jezus kochany! Tato dał nam pieniądze. W głowie mi się nie mieściło. Bo- że najświętszy! „Opowiadaj, jak to było." „Weszłam do dyżurki. wymieniłam nazwisko, powiedziałam, że mnie wzywa rewirowy, dyżurny milicjant pokazał mi drogę. Rewirowy czekał na mnie. Jakby zakłopotany, bo ja wiem zresztą, jaki. „Przyszła pani tu — rzekłam do niego — bo mnie pan wezwał." — „Prosze usiąść" — odparł. Chciałam tylko dowiedzieć się, o co chodzi". „O co chodzi? — wstał i zaczął chodzić po pokoju. — Pani się dziś po raz pierwszy z Tatą?" „Tak. — „Tak jest z Tatą." „Wiem" — przyznał się. — I on przeczuwał, że to nie- szczęście. — proszę pani." — „Bardzo dobrze pan sądzi, że to

BERNARD KEPLER

MIŁOŚNIKOM DOBREJ SZTUKI

Zadziwiająca, a zarazem napawająca dumą jest operatywność Łódzkiego Muzeum Historii Włókiennictwa. Patrząc z perspektywy ostatnich lat na wyjątkowe osiągnięcia artystyczne i organizacyjne tej bądź co bądź młodej placówki kulturalnej, nie sposób odmówić jej miana jednego z bardziej aktywnych ośrodków upowszechniania kultury w naszym mieście. W trosce o zainteresowanie i pozyskanie szerokiego kręgu odbiorców, chcąc uatrakcyjnić swą działalność wystawienniczą Muzeum Historii Włókiennictwa nie posiada — w odróżnieniu od innych placówek muzealnych — stałej ekspozycji, lecz systematycznie organizuje wystawy czasowe, prowadzone równolegle w dwu cyklach. Jeden — to cykl współczesnych tkanin artystycznych, drugi — to cykl obrazujący rozwój i dzieje włókiennictwa w ogóle, zaś tkactwa artystycznego w szczególności.

Ostatnio, dzięki współpracy z Muzeum na Wawelu łódzkie Muzeum zorganizowało w ramach drugiego z wymienionych cyklów — nazwijmy go dla uproszczenia historycznym — wystawę pod nazwą „Namioty, tkaniny wschodnie i gobeliny flamandzkie".

Uderzająca jest przede wszystkim swoista dwutorowość tej wystawy zakomponowanej jak gdyby w dwu płaszczyznach, wzajemnie się zazębiających. Obok właściwej ekspozycji, na którą składa się w sumie kilkadziesiąt gobelinów, kilimów i namiotów, pochodzących ze Zbiorów Sztuki na Wawelu, posiada ona bogato rozbudowany dział uzupełniający, o charakterze informacyjnym. Spełnia dwojaką rolę. Z jednej strony wydatnie ożywia i urozmaica ekspozycję, z drugiej zaś strony jest swojego rodzaju suplementem lub komentarzem do wystawy, który ułatwić ma widzowi recepcję niezbyt jeszcze popularnej sztuki, jaką jest tkactwo artystyczne. Wprowadzony wyżej podział na część właściwą i uzupełniającą, jest czysto umowny, bowiem włączone do wystawy eksponaty o charakterze informującym spełniają jedynie rolę przerywników wplecionych w zwartą i jednolitą kompozycję. Tak więc, obok zwięzłych tekstów i fotografii, stanowiących krótki zarys dziejów tkaniny obrazowej, w sposób celowy i logiczny rozmieszczono szereg eksponatów, ukazujących proces produkcji i technikę wytwarzania gobelinów. Są wśród nich dwa modele warsztatów tkackich (poziomy i pionowy) na jakich wykonywano gobeliny, stare wydawnictwa dotyczące tkactwa (np. oryginalne wydanie „Encyklopedii" Diderota) oraz ryciny obrazujące poszczególne fazy produkcji arrasów. Niewątpliwie równie interesująca jest dokumentacja rysunkowo - fotograficzna z pracowni konserwacji tkanin na Wawelu. W kolejnych gablotach zawiera ona rysunki pomocnicze i fotografie konserwowanych partii gobelinu oraz próbki przędzy używanej do konserwacji.

Właściwą ekspozycję podzielono na dwie części. Pierwsza obejmuje gobeliny flamandzkie pochodzące z wieków XVI, XVII i XVIII, w drugiej zaś znalazły się wschodnie tkaniny dekoracyjne, fragmenty namiotów oraz dwa kompletne namioty rozstawione w salach.

Wśród rozmaitych gatunków tkanin, w Europie największą karierę zrobiły tkaniny dekoracyjne do ozdoby ścian, zwane arrasami lub gobelinami. Nazwę swą zawdzięczają francuskiemu miastu Arras, które w XV wieku słynęło z tego rodzaju wyrobów. Od XVII w. tkaniny obrazowe zaczęto także nazywać gobelinami (od rodziny słynnych francuskich tkaczy i farbiarzy Gobelin, w posiadłości których Ludwik XVI założył słynną królewską manufakturę). Tkactwo artystyczne już od XV wieku z powodzeniem konkuruje z malarstwem, rzeźbą i architekturą, które jak wiadomo nadawały sztuce ogólny kierunek rozwoju. Rzecz to o tyle normalna, że w różnych epokach projektantami kartonów do tapisserii byli tacy wielcy mistrzowie jak Rafael, Romano, Jordaens czy Goya. Gdy w wiekach XV i XVII w produkcji tkanin obrazowych przoduje Francja, to w wieku XVI naczelne miejsce zajmuje Flandria, głównie Bruksela. Stąd właśnie pochodzą najświetniejsze nasze zbiory tkanin, stąd też pochodzi słynny zbiór arrasów Zygmunta Augusta, które stanowią najwspanialszy i najcenniejszy zespół wśród naszych skarbów kulturalnych, zrewindykowanych z Kanady, a których historię wszyscy jeszcze świeżo mamy w pamięci. Pierwotnie królewska kolekcja liczyła 350 arrasów, które w Polsce nazywano także oponami, kurtynami lub poławnikami. Burzliwe dzieje naszego kraju sprawiły, iż do dziś zachowało się tylko 136 sztuk.

Spomiędzy grupowanych na wystawie ponad 20 gobelinów wyodrębnić można trzy grupy tematyczne: sceny figuralne ujęte w ornamentacyjną ramę zwaną bordiurą, w których przeważa tematyka biblijna i antyczna (arras z serii dziejów Noego, Porwanie Sabinek, Dawid i Abigail), dalej krajobrazy ze zwierzętami czyli tak zwane werdiury oraz arrasy o charakterze ornamentalnym opartym na motywie groteski (z serii dwunastu miesięcy oraz tzw. herbowe). Przykładem połączenia kompozycji figuralnej z werdiurą jest arras „Polowanie w zwierzyńcu". Obok kilku gobelinów należących do zbioru odzyskanego z Kanady najokazalej prezentują się na wystawie arrasy z XVI wieku wytkane w najsłynniejszych ówczesnych warsztatach brukselskich W. Pannemakera, P. van Aelsta i J. van Tiegena. Znaczna część tych arrasów wykonana została według kartonów projektowanych przez tak wybitnych malarzy jak M. Coxeyn zw. „Rafaelem flamandzkim", Barendt van Orley i W. Tons. Największy podziw budzą oczywiście dwa arrasy pochodzące ze słynnej kolekcji zygmuntowskiej (z serii zwierzęcej - przedstawiający jednorożca na tle pejzażu oraz z serii groteskowej, w której motyw groteski oplata herb państwa i cyfry królewskiej), nie mniej godne uwagi są dwa pozostałe gobeliny „kanadyjskie", z których jeden wyobraża scenę z życia Mojżesza, a drugi wiejską sielską scenkę rodzajową.

Podczas gdy w Europie niepodzielnie panowała tkanina obrazowa Wschód pozostał wierny swym tradycjom, zarówno gdy chodzi o technikę jak i o środki artystycznej wypowiedzi. Kwitnie tu więc wyłącznie technika tkactwa dwustronnego (kilim, dywan, makata), stosujące jak wiadomo jedynie motywy ornamentalne w rozmaitej stylizacji. W tej części wystawy — poza kilkoma pięknymi kilimami kaukaskimi i perskimi — uwagę zwracają przede wszystkim dwa okazałe XVII-wieczne namioty typu perskiego, bogato aplikowane skórą, atłasem i złotem.

Wszystkim miłośnikom dobrej sztuki gorąco polecam tę ciekawą wystawę — nie zawiodą się na pewno.

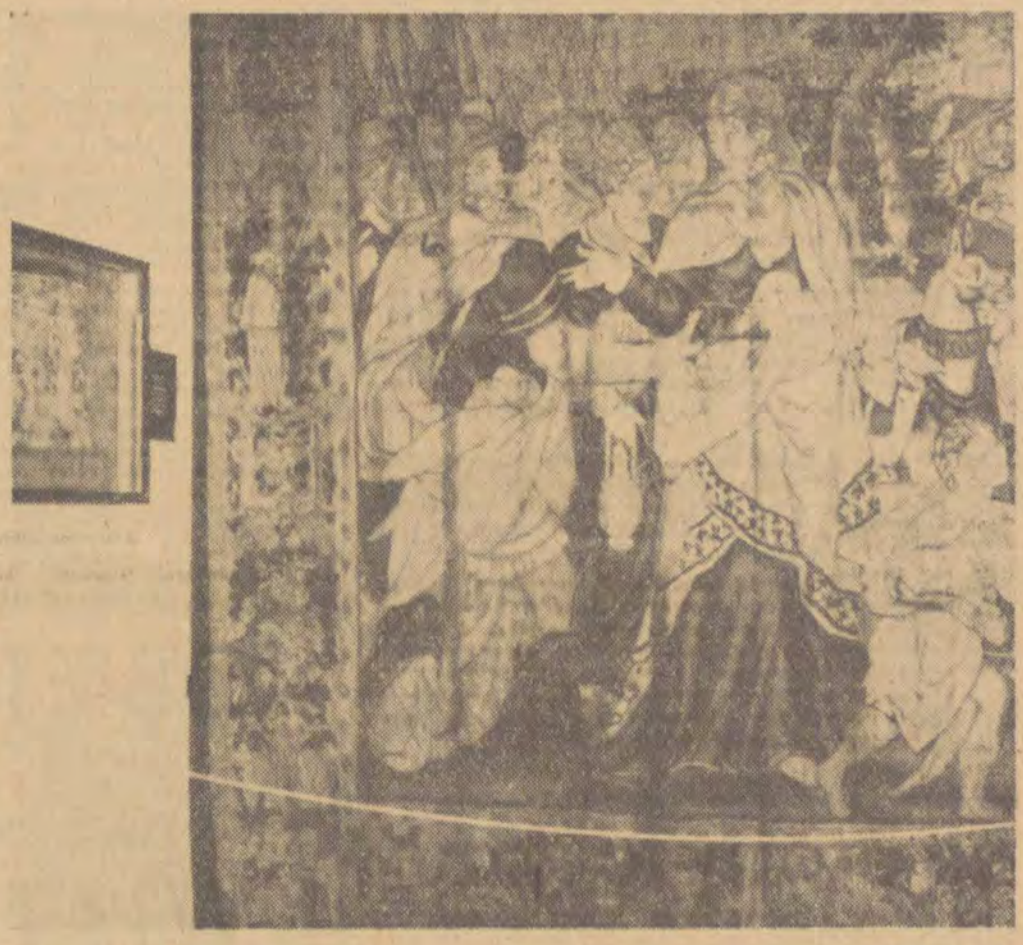

Fot. A. Solarz

JAN HUSZCZA

NASZE ŻYCIE TOWARZYSKIE

Schodziliśmy się przeważnie w „Remanencie"... Dwa albo i trzy razy w tygodniu. Gdy padał deszcz czy śnieg, to nawet i częściej.

Zwykle najpóźniej zjawiał się Dembaty, choć to on był wynosiła kolumną, jeśli można tak się wyrazić, wokół której gromadziło się całe nasze towarzystwo.

Dembaty zamawiał kawę i kieliszek koniaku, pochylał nad nią głowę o senatorskim profilu: rzymski nos, wyraźnie zarysowany podbródek, oprószona siwizną czupryna.

Tym razem Dembaty, gdy już opróżnił kieliszek, oznajmił :

— Okazja, koledzy! Można otrzymać zamówienie na trzy barowe wnętrza...

Nastąpiła chwila intensywnego zamyślenia, które nawiedziło wszystkich zebranych. I oto któryś zaproponował:

— Dajmy choć raz jedno wnętrze Pawełkowi!

Poczerwieniałem z przejęcia sięgnąłem po papierosa.

— A co ty na to? — zwrócił się Dembaty teraz do mnie, poruszając łyżeczką w filiżance z nie dopitą kawą.

— Będę bardzo wdzięczny barowo...

— No, i.. — wyczekująco podjął Dembaty.

— Co? — niewinnie zapytałem.

— Chcę wiedzieć, co możesz obiecać w zamian?

— Aha! — westchnąłem z zakłopotaniem. — Cóż?! Mam emerytowanego pułkownika. Mogę mu was przedstawić. Wywiera na ludziach duże wrażenie. Znał osobiście następcę włoskiego tronu, barwnie opowiada o Monte Cassino, a w ogóle to brał udział w siedmiu historycznych bitwach.

— To co z tego?

— Chodząca tradycja... Gdy się przebywa w jego towarzystwie, to tak jakby się brało udział w czymś doniosłym.

— E, tam! Komu to teraz potrzebne?! Snobi wymarli, a durnie poszli na maliny.. — parsknął Dembaty.

Nie otrzymałem zamówienia. Wszystkie trzy przekazano pryszczatemu Klisiowi, który nie był — jak ja — doświadczonym plastykiem, ale miał dostęp do wielkiego magazynu z nylonową przędzą i jeździł „Wartburgiem".

Mimo to, jeszcze ktoś się za mną wstawiał. Na pocieszenie otrzymałem dwa bezpłatne bilety do operetki.

Czasem rozpatrywano sprawy mniejszego kalibru. Jeden z nas zaczynał:

— Chcę mieć na pojutrze dwa miejsca w domu wczasowym gdzieś nad morzem!

Takie drobniejsze sprawy należały do kompetencji niejakiego mgr Wiśnicza. Zaglądał do notesiku z literami alfabetu na brzegach kartek i powoli cedził:

— Dziś wieczorem mogę porozumieć się w tej sprawie. Zadzwońcie do mnie jutro.

— Ależ ja chcę mieć pewność... — mówił ów jeden z nas.

— Przecież powiedziałem: zadzwońcie jutro!

Kiedyś tęgo podpiliśmy. Nawet Dembaty pozwolił sobie na kilka kieliszków więcej. Recytowałem z przejęciem wiersze naszych romantyków. Ale i teraz nikt ich nie chciał słuchać. Za otwartym oknem szumiały natomiast kasztany, w ich gałęziach błąkał się księżyc, gdzieś śmiały się dziewczęta, nastrój wytworzył się lekkomyślny, zalatujący zabawą. Nic więc dziwnego, że pewien posiadacz aksamitnego tenoru zaproponował:

— A może ktoś z was chce mieć ulicę swojego imienia?

— Gdzie?

— Na początek, w jakimś mieście powiatowym!

Nawet ja wybuchnąłem śmiechem. Komu może zależeć na ulicy swego imienia?! Pewna jednak fertyczna blondynka oświadczyła, że to jej przypomniało, iż reflektuje na mieszkanie w nowych blokach... O, to co innego! Pochwalono ją za rozsądek. Wkrótce przysiadł się do niej Pstroń, który miał adresy kilkunastu uczynnych osób. Sądzę, że obiecał blondynie załatwić mieszkanie, gdyż oboje patrzyli na siebie jakimś łakomym wzrokiem. Pstroń aż się oblizywał.

Pewnego wtorku Dembaty po prostu wbiegł do „Remanentu", Spieszył się i wpadł tylko na chwilę, z punktu oznajmiając:

— Słuchajcie, chłopaki! Można mieć kupony setki na ubrania! Kupony, wycenione jako resztki...

Zgłosiło się kilku chętnych. Przezwyciężając onieśmielenie, wymieniłem także i ja swoją kandydaturę.

Dembaty spojrzał na mnie bez życzliwości:

— A co za to zadeklarujesz?

— Mogę wyrecytować kilka wierszy... — zacząłem i urwałem, szukając czegoś konkretniejszego: — Mam emerytowanego pułkownika. Brał udział w siedmiu bitwach. To duża przyjemność pokazać się z taką chodzącą tradycją...

— Sam się z tą tradycją pokazuj! — warknął Dembaty. Ale potem obmiótł spojrzeniem swoich czarnych oczu moją żałosną figurkę i chyba trochę się wzruszył, gdyż powiedział:

— Nieszczególnie, gluptasie, wyglądasz! Kuponu ci nie przyznamy, ale dam ci zaproszenie na trzydniowy zjazd wiolonczelistów w Nowym Sączu. Podgórska miejscowość, odświeżysz się...

Skwapliwie na to przystałem. Przepełniony wdzięcznością, wyjąkałem:

— Dobrze naśladuję głos wilgi. Jeżeli sprawi ci to, Dembaty, jakąś przyjemność, mogę się zaprodukować. Lasem w „Remanencie" zapachnie.

— Daj spokój! Nie lubię takich przyjemności. Bierz, co ci dają i w milczeniu zmykaj!

Innym razem, gdy znowu wszyscy zeszli się w „Remanencie", od razu — bez żadnych żarcików na aktualne tematy — zaczęto mówić o wymianie świadczeń i usług. Gdyby nie przyciszone głosy, przypominałoby to ogłaszanie komunikatów:

— Są dwa wolne miejsca na statku „Marynika"...

— Pomóżcie obłaskawić drażliwą sprawcę w Siódmej Instancji!

— Pola chciałaby mieć przynajmniej epizod w którymś z filmów..

Nie wytrzymałem. Mój kompleks natarczywie domagał się wyładowania. Także odezwałem się:

— Mam emerytowanego pułkownika... Naśladuję coraz lepiej głos wilgi!

Niestety, tym razem potraktowano mnie aż nazbyt zdecydowanie. Elegancki młodzieniec o nazwisku Kościołek trzepnął rozwartą dłonią po szklanym blacie stolika:

— Idiota! Stuprocentowy anachronizm już w chwili urodzenia! Wyrzućcie go z naszego towarzystwa!

O jej, naprawdę wyrzucono mnie z towarzystwa! Jeszcze chciałem coś powiedzieć, zapewne na swoją obronę, ale tylko jedno słowo, a i to z trudem, spełzło z moich rozedrganych warg:

— Ciao!...

— Good bye!!! Good bye!! Good bye!!!

Naprawdę wyrzucono mnie z towarzystwa. Przemykam się chyłkiem po ulicach Nie golę się i nie myję zębów, choć wzywają do tych czynności neonowe napisy. Tulam się...

A może jednak ktoś się za mną wstawi?

...Mam zawsze pod ręką emerytowanego pułkownika; jestem notowanym w encyklopediach plastykiem; w sprzyjających okolicznościach coraz lepiej naśladuję głos wilgi i z przejęciem recytuję wiersze romantyków; znam się na technice reklamy! Więc może jednak?

(Z tomu, który ukaże się nakł. „Czytelnika")

ODGŁOSY tygodnia

ZAMĘŻNA – W PRACY

„Mimo popularności zagadnienia — brak jest podstawowych danych o zatrudnieniu kobiet zamężnych" — stwierdził Instytut Gospodarstwa Społecznego. Jerzy Piotrowski z Instytutu podjął próbę ustalenia elementarnych danych, posługując się z konieczności różnymi materiałami pośrednimi i obliczeniami szacunkowymi. Oto kilka zaskakujących twierdzeń:

* * *

- Odsetek kobiet wśród ogółu pracowników jest dziś taki sam jak przed wojną (rok 1931) — wynosił i wynosi **34.** Rosną jednak liczby bezwzględne — przed wojną 1 milion pracownic, w 1946 r. — 800 tys., w 1955 r. — przeszło 2 mln., dziś — 2,5 mln.
- Przed wojną liczba pracujących mężatek wynosiła około 170 tys., dziś około 800 tys. a więc w tym wypadku wzrost prawie 5-krotny. Ilość pracujących mężatek wzrosła szczególnie po 1956 r. niemniej odsetek jest niższy niż w ZSRR, NRD, Czechosłowacji, USA, Anglii, Danii czy NRF.
- I przed wojną i dziś, najliczniejsza jest grupa pracujących mężatek w wieku 25—34 lata, a więc najbardziej „macierzyńskim" okresie życia kobiet i jednocześnie najważniejszym ze względu na karierę zawodową. Macierzyństwo hamuje dziś pracę kobiet w znacznie mniejszym stopniu niż przed wojną.
- Około 80 proc. zamężnych pracownic ma dzieci, ale nieomal połowa ma tylko jedno dziecko.
- Wpływ wysokości zarobku męża na pracę żony — bardzo silny. Przy niższych jego zarobkach nacisk ekonomiczny zmusza żony do pracy i przyjmowania każdej pensji. Przy wyższych — częściej do pracy idą tylko te żony, które albo mają możność wyższego zarobku, albo mają kwalifikacje zawodowe.
- Wśród włókniarzy, odzieżowców, nauczycieli i pracowników służby zdrowia, spotyka się pracujące matki cztery razy częściej niż w środowisku górników, kolejarzy, pracowników rolnych i leśnych.
- Różnice w stopniu aktywizacji zawodowej kobiet zamężnych między środowiskiem górników i hutników (bardzo mało pracujących kobiet), a włókniarzy (bardzo dużo), są wynikiem długotrwałego rozwoju historycznego. Jeszcze w XIX wieku żony i córki górników pracowały masowo w kopalniach nigdy jednak nie stanowiły tam takiej siły produkcyjnej jak kobiety włókniarki.

CO GŁOWA TO ROZUM

Nie braknie u nas zaiste osobników, którzy za pomocą tzw. pomyślunku potrafią migiem „skluczyć interes". A wszystko dla nieszczęsnej... mamony. (Nie wódź nas na pokuszenie).

Do nich zaliczał się p. Bolesław S., człek elegancki, o artystycznych manierach. Któż by takiemu nie ufał. Więc p. Bolesław działał. Posługując się zafasowanymi na lewo blankietami finansowymi i afiszami Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych w Łodzi urządzał od czasu do czasu „tournee" po wsiach i gromadach. Wówczas na płotach pojawiały się afisze zapowiadające przedstawienia „Chimera czy miłość" lub „Czysty interes" a „impresario" pobierał a conto zaliczki przeważnie od GS (wiadomo handel), w granicach od 3 do 4 tys. zł. Oczywiście przedstawienia nigdy się nie odbywały. Z Łódzkiego p. Bolesław S. przeniósł się w Białostockie i Zielonogórskie, aż w końcu znalazł się na właściwym miejscu, za kratkami. Pomyślunek jednak był nie bardzo szczęśliwy.

WODA I DOZA

Prasa codzienna ostatnio pisała sporo na temat wybuchających syfonów z wodą sodową. Przyczynę wybuchu stanowiły zbyt duże ładunki gazu. W związku z tymi alarmami sprzedaż wstrzymano i syfony poddano kontroli.

Po kilku dniach znowu ukazały się na rynku, tym razem jednak gazu było w nich za mało. Skutek był taki, że po naciśnięciu dźwigni woda nie chciała płynąć z kranika, mimo że syfon był pełen. Np. sklep przy ul. Narutowicza 52 w ciągu jednego tylko poniedziałku 16 bm. był zmuszony wymienić osiem takich syfonów reklamowanych przez klientów.

Cała sprawa nie warta byłaby nawet wzmianki, gdyby nie fakt, że przez „sprawę syfonów" objawia się nasza specyficzna cecha narodowa: nigdy nie umiemy sobie obliczyć prawidłowej dozy wody sodowej.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 * Zam. 1290 IV. A 4

RELIKT... ELEKTRYCZNY

Mimo ciągłych podróży po Polsce, nigdy dotychczas nie udało się nam oglądać czynnego wiatraka. Ostatnio jednak za Uniejowem, już w woj. poznańskim, w okolicy Dębia, spostrzegliśmy obok szosy wirujące śmigi.

Młynarz, do którego prasa łódzka nie dociera, który jednak z pierwszych lat powojennych pamięta expressowego „Wicka i Wacka", powitał nas słowami: co to, panowie przyszli obejrzeć relikty przeszłości"

Niestety, spotkało nas rozczarowanie. Śmigi co prawda kręcą się, potężny trzpień obraca wielkich rozmiarów koło zębate wewnątrz wiatraka, ono z kolei uruchamia kamienne żarna. Wszystko jak za Piasta Kołodzieja. Ale w ten sposób miele się w wiatraku tylko śrutę.

Do mielenia pszenicy służy właścicielowi nowoczesny agregat poruszany silnikiem elektrycznym. Wiatrak ma 200 lat, agregat jest od niego dwudziestokrotnie młodszy.

No cóż, współczesność brutalnie obchodzi się z tradycją. A młynarz powiada: „Panie, i wiatry już nie te, co dawniej".

PIROMANI... MIMO WOLI?

Mieszkaniec Pabianic Henryk D. znajdował się w trudnej sytuacji materialnej. Pobyt w więzieniu wydał mu się marzeniem; podpalił więc zapałkami kotary w kinie „Robotnik" byle „zasłużyć" na więzienny wikt i opierunek. Jego kompan po fachu Jan L. w pow. łaskim zasmakował w piromanii z nieco innych pobudek. Wspólnie z księgową przywłaszczył najpierw pokaźną sumkę ok. 700 tys. zł, następnie puścił z dymem zabudowania miejscowego GS, żeby — jak niewinnie zeznał — zatrzeć ślady. A teraz uwaga na marginesie: w ub. r. zanotowano w Polsce 10.081 pożarów — straty wyniosły 524 mln zł, z tego gros pożarów przypada na województwa: łódzkie, katowickie, olsztyńskie.

Strzeżmy się więc czerwonego kura i piromanów — tych urodzonych i mimo woli.

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

Foto: A. Kobyliński

KOBIETY jak KWIATY

„Chcemy być ładnie ubrane nie tylko na ulicy, ale i przy pracy." Tak postanowiły prządki z WZPB im. 1 Maja i zbuntowały się przeciwko starym, brzydkim ubraniom roboczym z burego drelichu.

Wyciągając z tego wnioski dyrekcja i samorząd tych zakładów postanowiły na 1 Maja zafundować swym „babkom" nowe robocze szatki. Dzięki temu załoga WZPB im. 1 Maja powiększy ilość fabryk, w których cała załoga nosi estetyczne, kolorowe i lekkie fartuszki ochronne.

Warto przypomnieć, pionierskie w tej mierze zasługi załogi ZPW im. Reymonta, która pierwsza, jeszcze rok temu, wprowadziła u siebie nową odzież roboczą.

Rozważania „POD PSEM" (CZĘŚĆ I)

Mamy w Łodzi 186 psów — związkowców. Tyle bowiem zarejestrowanych jest w w Związku Kynologicznym. Są to psy rasowe wśród których przeważają owczarki szkockie Colly (patrz film „Powrót Lassie") i owczarki niemieckie. Poza tym reprezentowane są i inne rasy jak dobermany, pudle, spaniole, dogi, boksery itp. Około 100 łódzkich psów rasowych nie wstąpiło do Związku z winy właścicieli, którzy uporczywie i od lat udają, że nie rozumieją próśb wyrażonych szczekaniem. A psy bardzo by chciały się „uzwiązkowić". Czują bowiem, że organizacja nadałaby ich psiemu życiu blasku i przywilejów. Ich koledzy związkowcy mają prawo wystawiać (się) na wystawach, jeżdżą po Sopotach, Warszawach, mają zapewnionych partnerów — Związek potrzebujących kieruje w odpowiednie miejsce do odpowiednich psich osób itp. itd.

Pies domowy pochodzi zapewne od różnych dzikich przodków, bo łatwo krzyżuje się z wilkiem lub szakalem. Udomowił się 8 tysięcy lat temu. Nic więc dziwnego, że przez ten czas wyrosły rzesze psich sympatyków i miłośników.

W Łodzi wśród 186 któ-

rzy razem z psami należą do Związku (i zgadzają się — wbrew właściwej ludzkiemu rodowi zarozumiałości, być tu traktowanym na drukim miejscu), 25 działa czynnie. Są to ludzie różnych zawodów i wieku. Po normalnej pracy rzucają się w wir psich obowiązków, choć nikt im za to nie płaci i nie jest to ich „psim obowiązkiem". Tak np. dwa razy w tygodniu — we wtorki i czwartki od 15 do 19 przy ul. Zachodniej 53 w pomieszczeniu użyczonym im na ten czas przez gościnną Wojewódzką Radę Łowiecką, rejestrują psy i rozwiązują setki psich kłopotów (tel. 374—34).

Finansowe władze Łodzi bez względu na rasę i zasługi ściągają 60-złotowy podatek rocznie za psa. Zwolnione są tylko psy podwórzowe („łańcuchowe"), widocznie nawet twarde serca finansistów miękną na taki psi los. Kundle natomiast — około 10 tys. w mieście, też płacą. Zwolnione od podatku w Krakowie, Warszawie i Katowicach zasłużone psy reproduktory i suki hodowlane w Łodzi też płacą sarkając na to ustami właścicieli. Nie każdy pies rasowy nadaje się do przedłużania naprawdę rasowego gatunku, nie każda suka... Nadające się, są rasowe od wielu pokoleń i nie grzeszą żadnym nierasowym szczegółem. Reproduktor za „reprodukcję" żąda od suki — jednego szczeniaka lub jego równowartość. Rachunków pilnują właściciele. A szczeniak kosztuje tym więcej im więcej złotych medali na psiej piersi jego rodziców. im są znakomitsi. Jak to się mówi — im więcej złota tym więcej złotówek. W Łodzi jest około 10 hodowców, którzy mają okresami wiele szczeniaków (i pieniędzy???).

O charakterze psów, o psach cholerykach i innych, o ich zasługach — w następnym numerze.

DWÓCH NA JEDNEGO

Stowarzyszenie Naukowo-Techniczne Inżynierów i Techników Przemysłu Włókienniczego liczy sobie w całym kraju 25 oddziałów i 11.626 członków. Stolicą jest oczywiście Łódź. Oddział Łódzki zrzesza około 3.000 osób. Następne w kolejności ośrodki to Bielsko-Biała (ok. 1.300 członków) i Częstochowa (ok. 800).

Wśród członków Stowarzyszenia jest 1987 inżynierów, 5942 techników i 3697 — „innych". Co to za „inni", nieuwidocznieni przecież w nazwie Stowarzyszenia? Otóż są to ekonomiści z przemysłu włókienniczego. Łatwo wyliczyć więc, że na każdego inżyniera zatrudnionego we, włóknie przypada co najmniej dwóch planistów, handlowców, sprawozdawców itp.

To do pewnego stopnia tłumaczy fakt, dlaczego piętą achillesową owego przemysłu jest właśnie... produkcja.

POPRAWA

Wyższa kultura użytkowników dróg i sprawniejsza praca MO wpłynęły na zmniejszenie się liczby wypadków i poprawę bezpieczeństwa ruchu drogowego.

Dla porównania: w styczniu i lutym ub. r. w 182 wypadkach drogowych w Łodzi i w województwie 13 osób poniosło śmierć, 145 odniosło rany. Uszkodzonych zostało 119 pojazdów. W analogicznym okresie br. w 135 wypadkach zginęło na drogach 11 osób, odniosły rany 103 osoby, uległy uszkodzeniu 134 pojazdy. W całym kraju liczba wypadków drogowych spadła z 2.616 (styczeń — luty 1961 r.) do 2.381. Jedynie Warszawa, Poznań, Lublin i kilka pomniejszych miast notuje u siebie wzrost wypadków.

Pomimo poprawy i dobrej prognozy, bądźmy czujni. Bo -to w postaci pirackiej jazdy, alkoholizmu itp. nie śpi.